Nr. 231. Lwów — Wtorek dnia 16 Października. Rok 1906.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.
Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h. w Niemczech . . 3 „ — „ w innych Państwach . 4 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 h. Opłatę należy nadsyłać równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k. Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h. na prowincyi . . . . 12 h.
Numera z poprzednich dni po 20 hal.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, rocznicach zakładów, pogrzebach, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, o znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA i PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sołtchowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.
Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h.
W drobnych ogłoszeniach: tłustym petitem za każde słowo 4 h. tłustym garmondem „ „ 6 h. koresp. prywatne „ „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia i wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 60 h. Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k.
Rękopismów Redakcya nie zwraca. Niefrankowanych listów nie przyjmuje.

Dziś: Wt. św. Gawła Ap. — Dyonizego
Jutro: Śr. św. Łucyny — Hieroteusza
Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.
Wschód słońca o godz. 5 min. 50 / Zachód „ „ 4 „ 26
Długość dnia godzin 10 min. 36 / Ubyło dnia od wczoraj 3 min.

Z Węgier.

Piszą nam z Pesztu 13 b. m.

(∞) Ogromne wrażenie sprawiło w sejmie doniesienie dziennika *Az Ujsag* o zamierzonem przez radykałów kossuthowskich i ludowców atakowaniu hr. Gołuchowskiego podczas sesyi delegacyjnej, która w listopadzie odbędzie się w Peszcie. Dziennik ten pisze:

Hr. Gołuchowski, dowiedziawszy się o zamierzonych zaczepkach, postanowił nie jechać do Budapesztu na sesyę delegacyjną, lecz zamiast siebie wysłać do niej szefa sekcyi Merey, albo też p. Müllera i oczywiście donieść o tem Królowi, który jednak nie zgodził się na to, owszem, rzekł, że właśnie chce, aby sam minister udał się na sesyę, a niech będzie zupełnie spokojny, bo Monarcha bierze to na siebie, iżby żadnych osobistych ataków nie było. Oczywiście, minister z wdzięcznością przyjął to uspokojenie. Rychło potem, mianowicie w ostatni wtorek, kiedy dr. Wekerle przybył do Króla na audyencyę, aby przedstawić budżet, Monarcha sam rzekł, że doszło do jego wiadomości, jakoby niektóre żywioły ludowców i kossuthowskiej partyi zamierzały wystąpić na najbliższej sesyi delegacyjnej z wnioskiem o wyrażenie hr. Gołuchowskiemu nieufności, a gdy dr. Wekerle to potwierdził, Król zapytał go, czy on się zastanowił nad wszystkimi skutkami tego wypadku? — i następnie począł sam mówić o tych skutkach. Dr. Wekerle rzekł, że dołoży wszelkich starań, aby sesya delegacyjna przeszła gładko i spokojnie. „Tak właśnie być powinno“ — rzekł Król. Zaraz po audyencyi udał się dr. Wekerle do hr. Gołuchowskiego, z którym długo się naradzał i kilkakrotnie zapewniał go, że rozprawy w delegacyi węgierskiej będą spokojne, budżet ministeryum spraw zagranicznych będzie uchwalony i żadnych ataków minister nie dozna. „Mogę zapewnić — rzekł — że nie stanie się nic takiego, coby mogło osobiście nieprzyjemnie dotknąć Waszą Excellencyę“. Wówczas hr. Gołuchowski powiedział, że jest gotów przybyć na sesyę do Budapesztu. — Dodać tu trzeba, że w ministeryum spraw zagranicznych mówią ze zdziwieniem, iż niektórzy węgierscy deputowani tak gorąco dbają o swe osobiste pobudki, że chcieli atakować ministra jedynie za to, iż krewnym ich nie dał takich politycznych stanowisk, o jakie oni się dobijali. — W naszych sejmowych kołach przywiązują do całej tej sprawy wielkie znaczenie, ponieważ wytworzyło się przekonanie, że jeżeli węgierska delegacya da hr. Gołuchowskiemu wotum nieufności, to się nie skończy na jego dymisyi. Stanowisko zajęte przez Króla i usposobienie, panujące na Dworze, nie pozwalają wątpić o tem, że ustąpienie hr. Gołuchowskiego pociągnęłoby za sobą ciężkie następstwa dla całego gabinetu dra Wekerlego. Sam on przyjął na siebie stanowcze zobowiązania wobec Króla i wobec hr. Gołuchowskiego, że nic przykrego nie stanie się podczas sesyi delegacyjnej. Jeżeli więc coś takiego się stanie, natenczas będzie nieprawdopodobnem, aby gabinet Wekerlego nie opuścił swego stanowiska“.

Lecz przeciw temu doniesieniu *Az Ujsaga* wystąpiło „Węgierskie Biuro Telegraficzne“, które rozesłało dziennikom następujący komunikat, datowany z Wiednia: „Nikt nie ma prawa przypuszczać o ministrze spraw zagranicznych hrabiu Gołuchowskim, że brak mu męskiej odwagi i uczucia dla konstytucyjnych obowiązków, wynikających z jego stanowiska, co jedynie mogłoby mu nasunąć myśl usunięcia się od osobistego udziału w obradach Delegacyi. Podobne przypuszczenia o nim muszą być odparte jak najenergiczniej. Zupełnie też nieprawdziwem jest wszystko, co *Az Ujsag* doniósł o rozmowie węgierskiego szefa gabinetu z ministrem spraw zagranicznych“.

W kołach parlamentarnych w całości potwierdzają to doniesienie *Az Ujsagu* i są mocno zirytowani na intrygantów, którzy po prostu kompromitują polityków węgierskich. Ostro, lecz słusznie skarcił ich *Pester Lloyd* w artykule, w którym wykazał znakomite zasługi hr. Gołuchowskiego i jego ogromną powagę w świecie dyplomatycznym. Skutek całej tej historyi zapewne będzie ten, że jeżeli Sejm wybierze nowych członków delegacyi, to żaden radykał i ludowiec nie otrzyma mandatu.

Wczoraj — jednocześnie z przedstawieniem przez dra Korytowskiego budżetu austryackiego — przedstawił dr. Wekerle Sejmowi budżet węgierski na rok przyszły. Pełne uprzejmości słowa p. Korytowskiego o Węgrach sprawiły tu wyborne wrażenie i zadowolenie, które dodatnio wpłynie na rokowania ugodowe. Budżet węgierski oczywiście nie jest tak świetny, jak austryacki. Nadwyżką nie mógł się pochwalić dr. Wekerle, co jednak jest zrozumiałe: musiały pozostać dotkliwe ślady długiego rozgardyaszu i niepłacenia podatków. Przykrzejszem dla Węgrów jest to, że nie mogą powiedzieć o sobie tego, co rzekł dr. Korytowski o Austryi, że w niej wzmaga się konsumcya żelaza i węgla kamiennego, rośnie fabrykacya wyrobów bawełnianych i wełnianych, a także zwiększa się dobrobyt ludu wiejskiego, a to wszystko do takiego stopnia, że można będzie niebawem polepszyć byt urzędników i dużo włożyć w koleje, ale nawet [illegible] bez zaciągania pożyczki. Istotnie, taki budżet jest dziś unikatem w Europie! Natomiast Węgry muszą zdobyć 277 milionów koron na nowe potrzeby, wynikające z dążenia do ekonomicznej i finansowej odrębności. Wobec tego p. Wekerle zapowiedział w swem budżetowem przedłożeniu nowe projekty podatkowe, które przedstawi za parę miesięcy. Na razie ogólnikowo tylko powiedział, że się nie obędzie bez zaprowadzenia progresywnych podatków zarobkowych i konsumcyjnych, a tylko gruntowego podatku progresywnego trzeba uniknąć, ponieważ emigracya i bez tego przybrała rozmiary niepokojące. P. Wekerle rzekł nawet, że można się obawiać po prostu wyludnienia — i dodał, że koniecznie trzeba środkami ekonomicznymi powstrzymać emigracyę i nawet ułatwić emigrantom powrót do kraju. Oklaskami okazała Izba posłów swą zgodę na te wywody szefa gabinetu, który jest jedynym wytrawnym finansistą i ekonomistą w rządzie. To jest naprawdę pole, na którem rząd i koalicya mogą zrobić dużo dobrego dla kraju, ale w tym celu powinno się wyrzec szowinistycznej walki z Austryą, która — jak wykazał dr. Korytowski — stoi ekonomicznie silnie i dlatego może swobodnie traktować swój układ z Węgrami.

Koncentracya sił.

W Królestwie Polskiem — oczywiście głównie w Warszawie — wciąż jeszcze rozprawiają o konieczności zjednoczenia się wszystkich stronnictw, stojących na gruncie narodowym, w jeden obóz, który pracowałby nad uspokojeniem kraju, a byłby wyrazem jego opinii. Rozprawy nie ustają, lecz zresztą nic się w tym kierunku nie robi. Wciąż jeszcze brzmią pieśni, ale czyny nie wstają. Wielu tłomaczy to stanem wojennym, który nie pozwala na zjazdy i zgromadzenia. Być może, że to jest istotna przeszkoda, chociaż stan wojenny, jeżeli nie przeszkadza dzielić się na kopę stronnictw, to przy dobrej ich woli nie przeszkodziłby im także zlać się w jeden obóz. My z boku widzimy inną przeszkodę. Oto, stronnictwo narodowo-demokratyczne, zwane pospolicie wszechpolskiem, pierwsze wystąpiło z tym rozumnym, godnym największego uznania wnioskiem, ale niestety zaraz potem zaznaczyło, że w owem zjednoczeniu ono chce rządzić i panować. Niekoronowany król stronnictwa wszechpolskiego p. Roman Dmowski tak o tem mówił:

„Stronnictwo, które zdobyło pierwszeństwo w kraju i o utratę tego stanowiska nie ma potrzeby się obawiać, musi zrozumieć, że odpowiedzialność jego ogromnie wzrosła. Musi to sobie powiedzieć, że za powodzenie walki i rozwój pracy narodowej jest dziś głównie odpowiedzialne. To poczucie odpowiedzialności nakazuje nam uczynić wszystko, ażeby żadne siły dla tej pracy i tej walki nie były zmarnowane. Uważam, że jest dziś naszym obowiązkiem, jako tych, którzy zwyciężyli i ster trzymają w rękach, zrobić krok pierwszy do zbliżenia się; wytworzyć taką atmosferę, takie stosunki wewnętrzne, w których każda siła narodowa mogła być należycie zużytkowana. Nie przybędzie nam stąd wiele sił par excellence politycznych; nie wierzę, żeby ludzie starszego pokolenia zdolni zmienić swe temperamenty i poglądy i odpowiedzieć nowym wymaganiom; łatwiej pod tym względem liczyć na wyrobienie się sił nowych; — bardzo cenię fachową wiedzę wielu ludzi, którzy się dotychczas zdala od nas trzymają — przedewszystkiem zaś pragnąłbym widzieć przedstawicieli starszego pokolenia w pracach kulturalnych, w których należy się im nawet rola naczelna, jako tym, którzy więcej mają naszej tradycyjnej polskiej kultury. Więcej niż młodsza generacya są oni powołani do zaznaczenia tych wpływów, które w naszem życiu duchowem poczyniła szkoła rosyjska i w ogóle wpływy rosyjskie ostatnich dziesięcioleci“.

Otóż, któż nie przyzna, że p. Roman Dmowski mówił jak młody król, który chce, aby były zużytkowane wszystkie narodowe siły, wzywa do siebie na posłuchanie doradców swego ojca, jako ludzi doświadczonych i mających w sobie dużo tradycyjnej kultury, ale rządzić chce po swojemu. Tacy starzy doradcy chętnie idą na usługi do tronu i oddają mu skarby swego doświadczenia, bo się czują dla kraju, dla narodu. Ale któż zechce pójść do p. Romana Dmowskiego i przysporzyć sukcesów stronnictwu wszechpolskiemu, z którego polityką i taktyką wcale się nie zgadza? P. Roman Dmowski powiedział dalej:

„Obawiam się, że obecna sytuacya, która charakteryzuje się wzmocnieniem rządu, wydaje się realistom zbyt trwała, i że w skutek tego budzą się między nimi skłonności do powrotu na dawne (ugodowe) drogi, a z niemi mogą się odrodzić dawne wpływy, które kierowały polityką ugodową“.

A jakże p. Dmowski myśli? Przecież jeżeli przyjdzie taka chwila, że car, albo teraźniejszy, czy inny rząd rosyjski zechce się porozumieć z Królestwem Polskiem, to pocznie się układać nie ze stronnictwami skrajnemi, nie z osobami, wyniesionemi na powierzchnię w czasie zawieruchy, ale z ludźmi znanymi z ugodowego usposobienia. Nie Ludwik Kossuth był powołany do stworzenia nowego stosunku między Austryą a Węgrami, lecz Franciszek Deak, a w Galicyi nie Jan Dobrzański, ale Agenor Gołuchowski. Tak bywa wszędzie na świecie, więc niepodobna przypuszczać, żeby w Rosyi obrano inną drogę, skoro, pogodziwszy się z Finlandyą, nie wezwano do steru jej rewolucyonistów, ale właśnie ludzi skłonnych do zgody. W przewidywaniu, że rząd rosyjski zechce się układać z kimś w Królestwie Polskiem, realiści właśnie nie powinni iść pod komendę wszechpolaków; powinni się zarezerwować, aby rząd rosyjski miał do kogo się zwrócić, a wszechpolacy, jako patryoci, nie powinni (jeżeli się rozumieją na polityce) żądać od realistów, aby oni przeszli pod niemiłą dla sfer petersburskich chorągiew wszechpolską. Przeciwnie, powinni powiedzieć: „Będziemy rząd atakowali, a realiści niech się zaszanują, bo tylko oni mogą być zawezwani przez rząd do układów“. Takby postąpił każdy naród polityczny i przytem taki, w którym stronnictwa składają swe ambicye na ołtarzu dobra publicznego.

Więc czyż nie potrzeba koncentracyi sił? Owszem, koniecznie potrzeba, ale niech to będzie sojusz równych z równymi. Niech każde stronnictwo na teraz do ostateczności uprości swój program, aby zostało w nim tylko to, co jest ogólnie narodowem i co zatem nie będzie zwalczane przez żadne narodowe stronnictwo. Rok temu zalecał taką „koncetracyę sił“ znany polityczny pisarz p. Stanisław Skarżyński. Głosił on wówczas: „Czy żydzi, gdy się znajdowali w niewoli egipskiej, dzielili się na partye polityczne? Podanie ich mówi, że utworzyli jedno wielkie bractwo, którego celem było przedostać się przez morze Czerwone w taki sposób, iżby nikt po drodze nie zginął. A dopiero wtedy, gdy już byli na drugiej jego stronie, uszykowali się oni w różne zastępy do pracy społecznej, która mieści w swej naturze nieuniknione starcia i wymiana wzajemnych ustępstw“. Lecz wtedy odpowiedziano temu pisarzowi, że zgoda — to apatya, a walka — to życie, to ścieranie się poglądów, a więc wyjaśnienie prawdy. Zapomniano, że walka między stronnictwami o kwestye teoretyczne istotnie obnaża prawdę, ale walki polityczne między ludźmi, którym nie o naukę chodzi, lecz o sprawy realne, zawsze wywołują tylko urazy, jeżeli nie nienawiść. Podzielono się więc na kopę stronnictw, które tak zażarcie walczyły ze sobą, że oto kraj wygląda jak Łazarz. Może się teraz uszykują, jak do przejścia przez morze Czerwone.

Korespondencye.

Wiedeń 13 października.

(Jeszcze afera aktorki Odilon. — Stowarzyszenie reformy prawa małżeńskiego wzięło się do tej sprawy. — Awantury miłosne posła Schuhmeiera. — Sprawa wywożenia dzieł sztuki za granicę. — Zasądzenie gminy za niepospypanie piaskiem placów miejskich w zimie).

(y). Znajdująca się pod kuratelą była aktorka Helena Odilon, którą opinia publiczna od tylu miesięcy już tak bardzo się zajmuje, więcej niż warta tego cała jej sprawa, przyjechała przed kilku dniami do Wiednia z Berlina i przywiozła ze sobą świadectwa dwóch najgłośniejszych psychiatrów tamtejszych dra Mendla i dra Zandera, stwierdzające, że jest zupełnie zdrową na umyśle. A zatem kubek w kubek powtarza się ta sama historya, jaka miała miejsce z księżną Ludwiką Koburską, a mianowicie, że zagraniczni lekarze mówią „czarne“ na to, co austryaccy uznali jako „białe“. Na podstawie tego świadectwa berlińskich lekarzy, wniesie teraz pani Odilon podanie do sądu o zniesienie kurateli nad nią i oddanie jej zarządu nad jej znacznym majątkiem.

Tymczasem znalazła pani Odilon opiekuna w stowarzyszeniu reformy prawa małżeńskiego, dążącem do zaprowadzenia w Austryi rozwodów. Na odbytem onegdaj zgromadzeniu członków tego stowarzyszenia zajmowano się przeważnie jej sprawą i przedstawiano ją jako klasyczny przykład, do jakich „nieszczęść“ prowadzi to, że w Austryi nie ma rozwodów. Gdyby bowiem ustawodawstwo austryackie zezwalało na rozwody, w takim razie pani Odilon, rozszedłszy się z swym pierwszym mężem, komikiem Girardim, a wyszedłszy powtórnie za mąż za obywatela węgierskiego Rakovszky'ego (które to małżeństwo zostało sądownie unieważnione), byłaby traktowana jako obywatelka węgierska i podlegałaby jurysdykcyi węgierskich sądów, a one z pewnością nigdy nie dopuściłyby do wzięcia jej w kuratelę. Najgoręcej przemawiał na korzyść pani Odilon, a piorunował na brak rozwodów w Austryi, znany poseł socyalistyczny Schuhmeier.

Przypadek chciał, że w tym samym dniu, w którym dzienniki przyniosły filipikę posła Schuhmeiera w obronie rozwodów, tutejszy antysemicki dziennik *Deutsches Volksblatt* ogłosił skandaliczny epizod z pożycia małżeńskiego tego trybuna ludowego, czyniący zrozumiałem pragnienie jego, by małżeństwo nie było niczem innem, tylko kontraktem, który każdej chwili zerwać można. Oto właśnie onegdaj na jednej z najludniejszych ulic dzielnicy Mariahilf w godzinach popołudniowych rozegrała się wedle sprawozdania wyż wspomnianego dziennika taka scena: Z domu, w którym mieści się redakcya socyalistycznego pisemka, którego redaktorem jest Schuhmeier, wyszła jakaś kobieta z dzieckiem na ręku. Zaledwie wyszła z bramy, przyskoczyła do niej czekająca już od dłuższego czasu na ulicy prawowita żona Schuhmeiera i poczęła ją lżyć ostatnimi wyrazami, jak: „ty kanalio“ i t. p. — poczem chwyciła ją za włosy i jęła tęgo okładać. Zaatakowana, również nie dała swej wolnej ręce próżnować, wywiązała się więc bójka, która ściągnęła wielki tłum ciekawych. Ostatecznie obie walczące kobiety rozdzielono. Pokazało się, że owa kobieta z dzieckiem na ręku, była to kochanka Schuhmeiera, na której pani Schuhmeierowa chciała zemścić się za to, że mąż ją opuścił. Pomimo, że scena ta rozgrywała się niemal pod samemi oknami lokalu redakcyjnego, w którym znajdował się wówczas pan poseł Schuhmeier, nie pokazał się on nawet w oknie, by zobaczyć co się dzieje.

Z Trydentu donoszą, że namiestnictwo tyrolskie, opierając się na odgrzebanym niedawno dekrecie kancelaryi nadwornej z dnia 3-ego kwietnia 1827, pociągnęło istotnie do odpowiedzialności barona Salvadoriego za to, że ze swej prywatnej galeryi obrazów, znajdującej się w pałacu jego w Trydencie, sprzedał za granicę płótno Tycyana, nie zawiadomiwszy o tem poprzednio władzy krajowej. Ów dekret nadworny z roku 1827 wystosowany był do księcia Metternicha jako kuratora akademii sztuk pięknych i postanowił, że każdy, kto chce jakieś wybitne (ausgezeichnete) dzieło sztuki sprzedać za granicę, obowiązany jest zawiadomić o tem poprzednio rząd krajowy, ażeby państwo mogło zrobić użytek z należnego mu prawa pierwszeństwa zakupna takiego dzieła. Przed wydaniem tego dekretu było wywożenie dzieł sztuki z Austryi wogóle zabronione. Od roku 1827, aż po dzień dzisiejszy nie było jeszcze ani jednego wypadku, w którymby władze zrobiły użytek z tego dekretu, a sprawa bar. Salvadoriego jest pierwszą tego rodzaju sprawą. W sferach prawniczych wielkie zajęcie budzi kwestya, jak sądy zapatrywać się będą na ów dekret nadworny. Niestety, choćby nawet uznały go, to nie będzie on mógł być dostatecznym hamulcem do wywożenia arcydzieł sztuki za granicę, gdyż opierając się na nim, władze nie będą mogły na wykraczających przeciw niemu nakładać innych kar jak grzywien pieniężnych, a kto otrzyma za sprzedany obraz kilkadziesiąt lub kilkaset tysięcy, ten ostatecznie chętnie zapłaci grzywnę kilkuset lub choćby nawet paru tysięcy koron. Jak wykazały dochodzenia wdrożone przez namiestnictwo tyrolskie, sprzedał bar. Salvadori ów obraz Tycyana (portret kardynała Madruzza) za 200.000 koron. Kupił go zamieszkały we Włoszech hrabia Sizzo-Noris, ale nie wiadomo, czy dla siebie, czy na rachunek jakiegoś amerykańskiego milionera.

W tutejszym sądzie cywilnym zapadł wyrok w bardzo ważnej, zasadniczej kwestyi, czy zarząd gminy, a więc magistrat, ma obowiązek w zimie, w czasie gołoledzi posypywać piaskiem chodniki i place miejskie. Oto w lutym b. r. żona woźnego bankowego, Anna Mayr, przechodząc przez targowicę owocową (słynny Naschmarkt) upadła skutkiem tego, że lód nie był posypany piaskiem, i złamała nogę. Przyszedłszy do zdrowia, wytoczyła gminie miasta Wiednia proces o 4.000 koron za wycierpiany ból. Sąd pierwszej instancyi przyznał jej 2.000 koron. Pełnomocnik gminy wniósł rekurs do wyższego sądu, który jednak w zasadzie uznał odpowiedzialność gminy za ten wypadek, a tylko zniżył na 1.200 koron sumę odszkodowania, jaką gmina ma zapłacić skarżącej.

Wiec urzędników podatkowych.

Kraków. W sobotę rozpoczął się tu wiec urzędników podatkowych z całej Galicyi. Przybyło przeszło 150 urzędników. Po zwiedzeniu miasta i po bankiecie, zebrali się uczestnicy w niedzielę, o godzinie 3-ciej popołudniu w sali resursy urzędniczej na narady. Jako delegat krajowej dyrekcyi skarbu, obecny był starszy radzca Osada. Po powitaniach, rozpoczął wiec prace pod przewodnictwem Władysława Sieczkowskiego ze Lwowa, wiceprezesa krajowego stowarzyszenia urzędników podatkowych. — Uchwalono wysłać telegram z wyrazami hołdu

---

26)

Z życia posła do sejmu.
(Z węgierskiego).

(Ciąg dalszy).

Objechał rzędem wszystkie majątki i pomniejsze gospodarstwa komitatu, młyny i folwarki. Wszystkich poruszył, zachęcił, rozpalił do sprawy i gdy nareszcie publicznie wystąpił z projektem swoim na ogólnem posiedzeniu władz prawnych, wniosek jego przyjęto — według słów komitatowego organu dziennikarskiego — z jednomyślnym entuzyazmem, jakiego nie zaznano od czasów prawodawczych uchwał honwedów w czterdziestym ósmym roku...

Na prezesa wybrano oczywiście filar komitatu, jaśnie wielmożnego komisarza rządowego. Powierzono mu najważniejsze, a niezbędne zadanie wyjednania opieki i zezwolenia ministra, co zresztą nie okazało się dziełem zbyt trudnem.

Kiedy zebrała się komisya przygotowawcza dla rozpoczęcia przedwstępnych robót, wyszło na jaw, że właściwie nie ma już czego przygotowywać, bo wszystko już załatwił Simon.

Simon wyszukał miejsce najodpowiedniejsze do urządzenia wystawy, poczynił odpowiednie zamówienia na pawilony, narysował już nawet szczegółowy plan wystawy z lotu ptaka.

Przezorność swoją i czynność posunął nawet do tego stopnia, że rozpoczął już pertraktacye o tanie a praktyczne urządzenie oświetlenia elektrycznego na mającej się odbyć wystawie.

Słowem — Simon był wszystkiem dla tej sprawy, głównym jej motorem i sprężyną, mimo to — za żadną cenę nie chciał wejść do składu komisyi wystawowej, chociaż prośbom o to i namowom nie było końca.

Zbyteczną chyba rzeczą wyjaśniać, że powodem tej skromności niesłychanej były znów jedyne, rzeczywiste bohaterki chwili: znakomite świnie tuczne zacnego pułkownika.

Albowiem trzeba wiedzieć, że przedmioty wystawione przez członków komisyi nie miały prawa ubiegać się o nagrody konkursowe: zaś opasy pułkownika ani źdźbła skłonności nie okazywały do wyrzeczenia się słusznie im należnych medali i dyplomów.

XI.

Wystawę otworzono w dzień pierwszego maja.

Wjazd ministra do wystrojonego powiewającemi flagami miasta, śmiało mógł uchodzić za pochód tryumfalny: licznie zebrane obywatelstwo okoliczne, które stawiło się do apelu ślicznemi czwórkami, brzęczącemi wspaniałą uprzężą, kongres straży ogniowej, tłumy śpiewaków, pszczelarzy — wszystko wniosło do małej mieściny ruch i nigdy przedtem nie widywane ożywienie.

Był to pełen blasku wiosenny poranek, gdy minister pod cieniem prastarych drzew lasku miejskiego, przekształconego na plac wystawy, z poważnem skupieniem ducha słuchał mowy komisarza rządowego, pełniącego jednocześnie obowiązki prezesa wystawy.

Orlay był ubrany odświętnie, w kosztowny strój narodowy, a licznie zebrane przedstawicielki płci pięknej z całego komitatu, które zresztą zawsze wielkie żywiły zainteresowanie do osoby pięknego, młodego komisarza rządowego, wyraziły teraz opinię, że Orlay zawsze powinien się ubierać w attilę i chodzić przy szabli. Tak ubrany wyglądał znacznie okazalej.

Minister na mowę odpowiedział mową, a Orlay mógł teraz swobodnie wodzić oczami po tłumie zebranej dokoła pomostu publiczności. Naraz — w pewnej odległości za plecami ministra dostrzegł nareszcie tych, których szukał: pułkownika Simona i Zuzię. Pułkownik, o głowę wyższy od wszystkich stojących dokoła niego, z obliczem, promieniejącem radością, mrugał porozumiewawczo na swego przyjaciela, jak gdyby chciał powiedzieć: A to nam się udało, nam dwóm wyłącznie! Obok niego wysoko, na baryerę jakąś widać wskoczywszy, opierając się o ramię ojca, stała Zuzia w powiewającej z wiatrem białej, letniej sukience i w ponsowym, koronkowym kapeluszu na głowie: lekkie to, barwne zjawisko, wyglądało obok ojca jak wieniec u szczytu słupa.

Po skończonym obrzędzie otwarcia wystawy tłum publiczności rozsypał się po pawilonach, a wśród tłoku zniknął Orlayowi z oczu ponsowy kapelusz koronkowy.

Zresztą, czekało go teraz zajęcie niemniej ważne: musiał oprowadzić ministra po wystawie. Po obiedzie jednak Jego Ekscelencya, zajęty jak każdy mąż stanu, odjechał natychmiast expresem do stolicy, Orlay przeto pośpieszył oswobodzić się ze swego stroju paradnego, poczem znów wieźć się kazał na plac wystawy.

Przebiegł daremnie kilka pawilonów, ze wzrastającą niecierpliwością szukając Simonów. Wtem — uderzył się dłonią w czoło: przyszły mu na myśl opasy. Pułkownik napewno przesiaduje przy wzorowo urządzonym chlewiku...

Jakoż faktycznie stał przed wylakierowanym na żółto przybytkiem nierogacizny, między liczną rzeszą z panów i chłopów złożonej publiczności, przyjmując — ze skromnością, nie pozbawioną samowiedzy własnej zasługi — pełne podziwu powinszowania znawców. Opasy obchodziły chwilę świetnego tryumfu.

Gospodarze z otwartemi ustami, niemal z przerażeniem przyglądali się tym kolosom i ze wstydem wspominali w swoich chlewach pozostawiony drobiazg, niegodzien miana świni.

Tam do licha! A nuż to mistyfikacya? Może opasy pułkownika Simona to nie zwykła nierogacizna, ale jakie hipopotamy?... Co tam hipopotamy, to są istne słonie!

A Simon z niezmordowaną gorliwością tłómaczył gospodarzom w siermięgach rodowód swoich opasów, wtajemniczał ich dokładnie w szczegóły krzyżowania ras, które jest najpierwsze z warunków doprowadzenia trzody chlewnej do tak znakomitych rezultatów. Potem przerywał wykład, czekał, aż się znów więcej słuchaczy zbierze i rozpoczynał rzecz całą od początku na nowo, nieraz całe okresy w jednakowy powtarzając sposób, zupełnie jak od lat dawnych w czynność swoją wdrożony stróż jakiego muzeum.

Nieopodal od ojca stała Zuzia, znudzona już trochę i starająca się zabawić głaskaniem po nosie źrebca, zamkniętego w sąsiednim boxie. Gdy pułkownik zaczął się witać z przyjacielem, i Zuzia zwróciła się ku niemu.

— Pan Orlay!

Sąsiad ze zdumieniem przyglądał się młodej dziewczynie. Sam nie był pewny, czy to radość ze spotkania po dawnem niewidzeniu nastraja go w ten sposób, że Zuzię znajduje tak czarującą, czy też rzeczywiście dziewczę zmieniło się tak znacznie. Wydało mu się, że uroda Zuzi przez te krótkie pół roku rozkwitła na prawdziwą piękność. Urosła, poszerzała w ramionach, w stanie wydawała się smuklejszą. Biała suknia okalała jej wyniosłą postać fałdami klasycznie harmonijnymi, a wielki kapelusz ze szkarłatnej koronki, w oświetleniu, padającem z góry na pierwszym planie kiosku, rzucał na jej twarz gorącą łunę, z którą jej było prześlicznie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

do ministra skarbu Korytowskiego. P. Maurycy Reich zdał sprawę z ostatniego wiecu urzędników podatkowych Dolnej Austryi w Wiedniu, gdzie uchwalono poczynić kroki o skrócenie lat służby do 35, o wprowadzenie pragmatyki służbowej i polepszenie stosunków awansu. Sprawozdanie to przyjęto do wiadomości. — Starszy kontroler Kisielka z Tarnopola postawił imieniem tarnopolskiego okręgu szereg wniosków; najważniejsze z nich domagają się przyznania dodatku drożyźnianego, unormowania corocznych urlopów, zaprowadzenia jednorazowego 7-mio godzinnego urzędowania, z tego 4 godzin dla stron, zaprowadzenia stałych sił rezerwowych w stosunku 5%, stabilizacyi urzędników podatkowych przy oddziałach podatkowych w starostwach.

P. Herbert z Wieliczki postawił wniosek w sprawie polepszenia emerytur wdów i sierót. Wnioski Kisielki i Herberta uchwalono. Następnie przedłożył p. Nowicki z Wiśnicza szereg wniosków o podwyższenie dodatku aktywalnego z powodu drożyzny, o ścisłą rewizyę ustaw skarbowych, będących obecnie wielkim konglomeratem, w którym trudno jest urzędnikom oryentować się, o nadanie pewnego stopnia egzekutywy urzędnikom podatkowym, o rychłe obsadzanie posad opróżnionych, o wymaganie od kandydatów na urzędników podatkowych ukończonej szkoły średniej. Wnioski te również wiec uchwalił, poczem odczytano wiele depesz z różnych urzędów podatkowych w kraju z wyrazami solidarności. Na tem wiec zamknięto.

Co i o czem piszą.

Bardzo zajmujące uwagi o mowie dra Korytowskiego, o stanowisku, jakie on zajął w Wiedniu i o jego rozumnym patryotyzmie, wypowiada p. Adolf Inlander, korespondent wiedeński *Dziennika polskiego*. Ponieważ każde zdanie życzliwe o naszym ministrze-rodaku obchodzić musi cały kraj, przeto powtarzamy je tu w całości.

Administracya skarbowa nie należy do najświetniejszych kart w historyi Polski. Nie brakło wprawdzie i w Polsce dzielnych zawiadowców skarbu, ale na ogół było ich mało, a tym co byli, w poprzek stawała niechęć szlacheckich sejmów do wotowania podatków. Kiedy król żądał pieniędzy na armaty, brać szlachecka odpowiadała: „na co nam puszek Najjaśniejszy Panie, my piersiami zasłonim Rzeczpospolitą", żądał li pieniędzy na oręż, szlachta zapewniała, że „kijami wroga przepędzi".

Galicya, a więc jedyna dzielnica dawnej Polski, która bierze czynny udział w państwowem życiu wielkiej monarchii, snać przez Opatrzność powołaną została do odkupienia naszej Ojczyzny. W skromności naszej nie widzimy prawie, jak polscy mężowie stanu dostarczają Austryi najlepszych — a kto wie nawet, czy nie jedynie dobrych — i prawodawców i wykonawców prawa na polu finansowo-politycznem. Krzeczunowicz, Smarzewski, Abrahamowicz działali, względnie działają przełomowo w ustawodawstwie podatkowem. Dunajewski, to niedościgniony dotąd wzór ministra skarbu w Austryi, Biliński na tem samem stanowisku sympatycznie zapisał się w pamięci parlamentu, a dziś sławę nowego ministra skarbu, dra Korytowskiego, głosi unisono nawet prasa niemiecka.

Budżet, przedstawiony przez dra Korytowskiego, to nie żaden na efekt obliczony „fajerwerk", ale produkt rzetelnej pracy i głębokiej rozwagi jednego z najdzielniejszych fachowców. Oszczędność paruje się w nim ze szczodrością: każde na właściwem miejscu. Dzienniki niemieckie oceniają budżet i program dra Korytowskiego jako austryackiego ministra skarbu; w tym kierunku wystarczy, jeżeli się na ich kompetentny — a z pewnością dla Polaka nie zbyt korzystnie usposobiony — sąd odwołamy. Nam pozostaje ocenić program ministra skarbu ze stanowiska naszego kraju i jego jako Polaka.

Zarzucają polskim politykom, że na wysokich stanowiskach stają się w pewnym kierunku tchórzliwymi, że bojąc się dla własnego kraju uczynić za wiele — czynią za mało. W wielu wypadkach zarzut ten jest prawdziwym. Nie wymieniając nazwisk, przypominam tylko, że po ustąpieniu niektórych Polaków z kierujących posad, pozostało w ich biurach mniej urzędników polskich, aniżeli było za kierowników Niemców. Powtarzam, że nie zła wola temu winna, jeno niewłaściwa tchórzliwość, bo w rzeczywistości żaden Niemiec i żaden Czech nie bierze polskiemu ministrowi pieczołowitości o własny kraj za złe.

Dr. Korytowski zaraz na wstępie dał dowód, że jest panem sytuacyi, widzi stosunki w prawdziwem świetle i oddając się z zapałem służbie dla dobra całego państwa, nie boi się jednak przyznać do obowiązków wobec własnego kraju i społeczeństwa.

Świadczy o tem każda niemal karta budżetu.

Dr. Korytowski aprobował budowę dwóch nowych, znaczniejszych linij kolejowych w Galicyi, 600.000 koron na dworzec towarowy we Lwowie, 700.000 koron na zniesienie rampy kolejowej na przedmieściu Żółkiewskiem, na dodatkowe budowle nadetatowe w Galicyi przeszło milion, na elektrownię w Stanisławowie 250.000 kor. itd. Szeroki program regulacyi rzek galicyjskich wysunął na pierwsze miejsce, dawno zaniedbane gościńce państwowe w Galicyi znalazły w budżecie życzliwą opiekę, klinika lwowska obficie wyposażona, cztery nowe szkoły średnie przewidziane, fundusz melioracyjny podniesiony — słowem, na każdym kroku czuć życzliwą i śmiałą rękę.

Dr. Witold Korytowski zna kraj, jak mało kto, bo na stanowisku, które przedtem piastował, poznał dokładnie i jego siłę ekonomiczną, i braki, i potrzeby, rzecz naturalna przeto, że jako minister skarbu austryackiego, korzysta z wiadomości, które nabył jako urzędnik tego skarbu. Na pozór dziwnem wydawałoby się, gdyby minister dlatego, że jest Polakiem, wahał się z zadośćuczynieniem potrzebom polskiego kraju z obawy przed krytyką. A jednak tak w kilku wypadkach dawniej bywało i dlatego też z wdzięcznością podkreślamy odmienne stanowisko dzisiejszego ministra skarbu.

Ta sama nuta, ta sama miłość do kraju odezwała się w mowie ministra o konieczności poparcia rozwoju przemysłu na wschodzie monarchii, nie ma wątpliwości, że z tego miejsca wypowiedziana zachęta skłoni i niemiecki i czeski kapitał do szukania w galicyjskim przemyśle lokacyi.

Żeby mnie nie posądzono o wybijanie drzwi otwartych przez podkreślanie narodowości ministra skarbu, przytoczę epizodzik z ostatnich tygodni. Pewna deputacya polska, przybywszy w bardzo słusznej sprawie do Wiednia, obchodziła ministrów i przyjętą też została przez dra Korytowskiego i hr. Dzieduszyckiego. Jeden z członków deputacyi wygotował dla dziennikarzy polskich notatkę, w której z iście rozrzewniającą naiwnością podniósł, że dr. Korytowski „przyznał, że jest Polakiem", a co do hr. Dzieduszyckiego radził korespondentom, żeby lepiej może nie wspominać o bytności u niego deputacyi, „bo to mogłoby hrabiemu u Rusinów zaszkodzić".

Gdzie takie pojęcia panują, wystąpienie dra Korytowskiego ma znaczenie także — pedagogiczne.

Doskonałym okazał się minister skarbu jako mówca, każdy głos z ław poselskich w lot podchwytywał i z miejsca staczał ciętą polemikę. Szczególnie ostro spotkał się z niepowołanymi obrońcami urzędników, posłami Heilingerem i Glöcknerem, którzy w pogoni za głosami urzędniczymi, popychają urzędników na drogę opozycyi takiej, jaka w uporządkowanem państwie cierpianą być nie może. Dr. Korytowski, który zaraz w pierwszym budżecie, podwyższając wydatek na płace urzędnicze o kilkadziesiąt milionów, dał dowód wielkiej o byt urzędników dbałości, miał też niezaprzeczone prawo zastrzedz się przeciwko agitacyi, skierowanej na zupełne rozluźnienie korpusu urzędniczego.

Warsztaty dr. Jordana.

Złotemi literami odbić trzeba, co dr. Jordan pisze o warsztatach dla młodzieży szkolnej, i wbić w pamięć naszym pedagogom, bo fakt założenia tych warsztatów stanowi epokę w szkolnictwie i stawia ich twórcę na piedestale najsławniejszych mężów, zasłużonych o dobro młodzieży i przyszłość narodu. Powody założenia warsztatów są następujące, przez samego dr. Jordana podane: Bardzo wiele młodzieży, a zwłaszcza młodzieży z domów zasobniejszych, opuszcza szkoły średnie z umysłem dobrze uposażonym, ale jest ona dziwnie mało praktyczną, mało do realnych warunków życia przysposobioną, mało samodzielną i mało poradną. Te konieczne do życia warunki nabywa młodzież dopiero później własnem doświadczeniem i opłaca szkołę życia częstokroć bardzo dotkliwie. Nasze gimnazyum bogaci i rozwija umysł, ale z życiem praktycznem uczniów liczy się chyba tyle, że daje im świadectwo matury, które im umożliwia zostać lekarzami, prawnikami, profesorami i t. d., obrotności zaś i poradności, umiejętności praktycznego zastosowania nauki, a wreszcie samodzielności nie wyrabia wcale. Ma to wszystko wyrobić dopiero uniwersytet na materyale zupełnie nieprzysposobionym. To bardzo ujemna strona naszych szkół średnich, a zwłaszcza gimnazyów i dlatego sądzi czcigodny twórca warsztatów, że wprowadzenie kierunku praktycznego w wychowanie młodzieży tych szkół jest niezbędne; czy w tej, czy w innej formie podobnej, rozstrzygnie przyszłość. Praca ręczna, mówi dalej dr. Jordan, winna być w szkołach średnich wprowadzona jako jeden z dzielnych środków przeciwdziałania nadmiernemu przeciążeniu umysłu. Cztery do pięciu godzin przedpołudniowych musi chłopak w szkole przesiedzieć, do domu pozostają mu przygotowania się do lekcyj dnia następnego, zadania domowe i lektury prywatne, a nadto nierzadko nauka obcych języków, muzyka itd. To nie mało nawet dla umysłu dzielnego, zbyt wiele dla chłopca miernych zdolności. Stąd konieczność jakiejś przeciwwagi nie tylko, aby zapobiegać upośledzeniu rozwoju ciała, lecz także przytępieniu samego umysłu przez nadmierną pracę. Zabawy ruchowe i wycieczki są niewątpliwie najlepszem antidotum przeciążenia umysłu, nie dają się jednak u nas wszędzie wprowadzić i codziennie zastosować, ślizgawka ma tylko krótką porę, nie jest też dla każdego dostępną i stosowną, a spacery na ulicach zbyt wiele łączą w sobie dla młodego chłopca niebezpieczeństw, by je jako środek hygieniczny zalecać; pozostaje przeto praca fizyczna, która racyonalnie prowadzona, zwłaszcza w stosownym lokalu, jest wybornym środkiem zdrowotnym, który w każdej porze roku i w dowolnej mierze może być użyty.

Prócz przymiotów natury hygienicznej, pisze dr. Jordan, ma praca ręczna wiele innych zalet, których wpływu na charakter lekceważyć nie można. Zmusza do ponoszenia trudu fizycznego, do przezwyciężenia gnuśności i lenistwa, wprawia w wytrwałości tak do wszystkiego niezbędnej, a nam trudnej, wyrabia wreszcie zamiłowanie czystości, porządku i dokładności w pracy.

Bardzo ważny jest powód, dlaczego szlachetny założyciel warsztatów nazywa je tak, a nie inaczej. Dziwnie, mówi, szerzy się u nas pogarda pracy ręcznej; lada stróż czuje się nieszczęśliwym, gdy syna zamiast do gimnazyum oddać musi do warsztatu, lada dyurnista pnie nos do góry wobec rzemieślnika, a dla chłopa ledwo się zdobędzie na grzeczne słowo; powszechnie prawie widzimy przecenianie pracy biurowej i brak zrozumienia należytego pracy, której narzędziem nie jest książka lub pióro. Pod tym względem, ważnym z wielu powodów, praca w warsztacie szkolnym doniosłego jest znaczenia. Zapozna ona ucznia z trudem pracy ręcznej i przekona go, że zostać dobrym rzemieślnikiem dziś już nie jest łatwo, gdyż, prócz sił fizycznych, potrzebuje on także nauki i zużywać musi nie mało inteligencyi, aby w wykonaniu swego zawodu odpowiedzieć wymaganiom obecnym. Nauczy się więc uczeń gimnazyum szanować pracę ręczną, nauczy się sprawiedliwiej oceniać i szanować tych, którzy ją zawodowo uprawiają.

To zbliży ludzi pracy umysłowej i pracy ręcznej do siebie, wygładzi powoli dość jaskrawe między rozmaitymi zawodami rozdziały, a ponadto zwróci niejednego młodzieńca, który się daremnie mozoli nad greką, na właściwszą dla jego umysłu i usposobienia drogę. Dla zdrowia społecznego, a nawet ekonomicznego, ważne to względy, a może i tędy droga do normalniejszego rozdziału pracy i zajęć. Niech więc to nie razi — kończy dr. Jordan — że chcę młodzież gimnazyalną napędzać do warsztatu szkolnego, w czasach obecnych może to niezły sposób demokratyzowania społeczeństwa.

Ostatecznie jest to jedyny sposób pedagogiczny wyrwania młodzieży z niebezpiecznych sideł zepsucia, które ją z rozmaitych stron otaczają.

Przytoczyłem dosłownie motywa, które skłoniły czcigodnego dra Jordana do założenia warsztatu. Oby tych warsztatów jak najwięcej w kraju powstało. Zaznaczyć jednak muszę, chcąc być bezstronnym, że przed 30 laty prof. Karwat robił nadludzkie wysiłki, aby w szkołach zaprowadzić naukę robót ręcznych. Pisał o znaczeniu tej nauki w gazetach krakowskich, rozsyłał broszurki swe członkom Sejmu i wybitnym osobistościom. Wszystko było rzucaniem grochu o ścianę. Dziś doczekał się staruszek uznania!

Profesor Świderski.

Z izby sądowej.

Brześć litewski, 13 października.

(Proces o obrazę sądownictwa rosyjskiego).

Dość obszerną salę sądu tutejszego zapełniła publiczność za biletami wejścia. Widać mundury wojskowe, tu i ówdzie urzędnicy, ich żony, nieco miejscowej ludności i inteligencyi, kilkunastu korespondentów pism polskich i rosyjskich.

Z oskarżonych nie stawił się p. Feliks Fryze, redaktor *Kuryera porannego*, lecz przybył jego obrońca adw. Papieski. Dwaj inni oskarżeni adwokaci Tadeusz Strzembosz i Józef Szyf, obecni są wraz ze swymi obrońcami Adolfem Pepłowskim i Chrystowskim z Łomży, b. posłem do dumy.

Ze świadków, wezwanych na żądanie Strzembosza, prawie nikogo nie brak; poczet ich stanowią z grona palestry warszawskiej: pp. Benzef, Józef Brzeziński, Białaszewicz, Chrzanowski, Kijeński, Korenfeld, Lewinson, Śliwowski, Br. Wysocki, oraz p. Drzewiecki, inżynier prezes stowarzyszenia techników w Warszawie.

Proces Strzembosza i Szyfa należy istotnie do spraw niezwykłych, a nawet jest w kronikach sądowych wyjątkowym, pierwszym w swoim rodzaju. Oto po raz pierwszy na szpaltach prasy adwokaci polscy wystąpili z oskarżeniem, iż sądownicy rosyjscy w Królestwie polskiem nie znają ani praw miejscowych, ani języka naszego, że w takich warunkach wymiar przez nich sprawiedliwości musi być wadliwy, a nieraz nawet krzywdzący dla ludności. I oto magistratura rosyjska w Królestwie uczuła się obrażoną artykułem adw. Strzembosza „A wy milczycie" i odpowiedzią adw. Szyfa na ten artykuł, wydrukowany również w *Kuryerze porannym* pt.: „Oni sami nie pójdą". I oto stanęły naprzeciw siebie dwie strony oskarżające: adwokaci polscy, oskarżający sądowników rosyjskich w prasie, i prokuratorya, oskarżająca adwokatów w sądzie, sądem zaś do rozstrzygnięcia tego procesu został w mocy ukazu senatu sąd okręgowy grodzieński, który zjechał do Brześcia.

O godz. 11-ej otworzył sesyę przewodniczący Stiepanow, prezes sądu okręgowego grodzieńskiego, a obok niego zasiedli członkowie tego sądu: pp. Stefanowskij i Nienaczajew. Oskarżenie popiera podprokurator Kałaszynskij.

Po odczytaniu aktu oskarżenia, sąd przystępuje do badania świadków.

Pierwsi zeznają pp. Lewinson i Józef Brzeziński. Poważne ich głosy, wyczerpujące objaśnienia odrazu rzucają obfite światło, rozpraszające wszelkie wątpliwości, czy słuszne były zarzuty, wyrażone w artykule p. Strzembosza. Obaj świadkowie stwierdzają, że sądownicy rosyjscy w Królestwie Polskiem nie obeznani są z prawami, zwyczajami miejscowymi i językiem polskim, co bardzo ujemnie wpływa na wymiar sprawiedliwości.

A to twierdzenie, udowodnione różnymi przykładami długoletniej praktyki sądowej, znajduje żywe i zupełne poparcie w zeznaniach i wszystkich innych świadków adwokatów. Wszyscy i bez żadnych zastrzeżeń, solidaryzują się z poglądami, wypowiedzianymi przez p. Strzembosza w jego artykule, wszyscy przytaczają liczne fakty, uwydatniające w sposób jaskrawy, jak dalece posunięta bywa nieznajomość wśród sędziów Rosyan kodeksu Napoleona, ustawy hipotecznej; jak sędziowie śledczy nie rozumieją badanych świadków; jakie z nieznajomości języka polskiego wynikają fatalne omyłki przy sądzeniu spraw, jakie ztąd wytwarzają się fatalne następstwa, zarówno w procesach cywilnych jak i karnych. W smutnych tych stosunkach zdarzają się bolesne, nieraz komiczne epizody. Oto jeden z sędziów pokoju zobowiązał adwokata do złożenia w sprawie kodeksu handlowego w oryginale, pod groźbą przegranej. Widocznie p. sędzia nie uznał za potrzebne sam zaopatrzyć się w kodeks handlowy, jako obowiązujący tylko w Królestwie Polskiem. Adwokat zniewolony decyzyą sędziego, złożył ów kodeks, którego tym razem pan sędzia był ciekawy i złożył w języku francuskim, jako w żądanym oryginale. Ale pan sędzia pokoju wielce się oburzył. Jakto, kodeks handlowy po francusku! Jemu potrzeba kodeksu handlowego w oryginale po rosyjsku!... *Risum teneatis!*

Inny znowu fakt, i to z izby sądowej. Jakiś chłopek złożył do sprawy kwit pewnego Wojciecha, który podpisał się zdrobniałem imieniem Wojtek. Wierzyciel siermiężny upomniał się w sprawie o pieniądze od Wojtka. I wtedy w motywach wyroku izby sądowej sąd zaznaczył jak najpoważniej, że „Wojtek" zapewne oznacza zdrobniałe „wójt", tylko niewiadomo, której gminy...

Podanie tego faktu przez świadka wywołało oznaki wesołości w sali sądowej, a nawet w gronie sądowników miejscowych, dość licznie przysłuchujących się procesowi, zaigrał na twarzach uśmiech, dyskretnie powstrzymywany.

Ale słyszeć można było od świadków i takie zdarzenia z praktyki sądownictwa, że refleksye, przez nie wywołane, były wcale nie wesołe.

Tak przypomniano uwolnienie przez izbę sądową arcy-smutnej pamięci profesora Zienca, skazanego przez sąd okręgowy za gwałt nad osobą pacyentki jego w szpitalu.

Prokurator izby nie zaprotestował przeciw temu wyrokowi, który wywołał w swoim czasie powszechne zdziwienie.

Senat wskutek kasacyi ze strony pokrzywdzonej, jako powódki cywilnej, wyrok izby uchylił, ale do nowego osądzenia sprawy nie przyszło, gdyż ofiara gwałtu wkrótce potem umarła.

Takie wyroki, jak w sprawie Zienca, nie mogą budzić wśród ludności naszej zaufania do wymiaru sprawiedliwości — zauważył świadek p. Drzewiecki, inżynier. Dlatego może on stwierdzić, że bardzo często wzywany bywa na sędziego do sądów polubownych, i może zaznaczyć, że w Stowarzyszeniu techników, którego jest prezesem, w Stowarzyszeniu, liczącem przeszło 1.600 członków, powstała myśl—we wszelkich zdarzających się sprawach zwoływać sądy polubowne, ażeby się obchodzić bez sądów rosyjskich, niecieszących się zaufaniem wśród społeczeństwa z powyżej wyłuszczonych powodów.

Po 1½-godzinnej przerwie, postępowanie dowodowe zamknięto i głos zabrał prokurator. Krótkie było jego przemówienie.

Nie uważał za możebne oskarżać z mocy przepisów tymczasowych o wydawnictwach peryodycznych, otrzymały bowiem w Królestwie moc obowiązującą już po ukazaniu się inkryminowanych artykułów. Zdaniem przedstawiciela prokuratoryi, oskarżenie winno być oparte na 1040 art. kod. k., przewidującym karę za szerzenie w druku wiadomości obraźliwych dla urzędników państwowych. Ale — oświadczył p. prokurator — artykuł pana Strzembosza tak jest przyzwoity i nic obraźliwego nie zawierający, iż prokurator nie może przeciw niemu, na mocy kodeksu karnego, popierać oskarżenia. Co się tyczy p. Szyfa, artykułu jego nie można uważać za obrażający dla sądowników rosyjskich. On im powiada zjadliwie, że sami nie odejdą, on odmawia szlachetnych popędów i oskarża o kierowanie się tylko poziomymi celami. P. Szyf winien być ukarany na zasadzie 1040 art. kod. kar., p. Feliks Fryze zaś z 1049 art. tegoż kodeksu, jako redaktor, który zamieścił artykuł, obrażający urzędników, wiedząc dobrze, iż niema w nim wcale słuszności.

Świetna była mowa mecenasa Pepłowskiego, obrońcy p. Strzembosza.

Jakkolwiek prokurator zrzekł się oskarżenia przeciw p. Strzemboszowi — rzekł on — niemniej poczytuję sobie za obowiązek przekonać sąd, że słusznie pisał oskarżony, iż sądowników rosyjskich w Królestwie cechuje brak znajomości prawa, zwyczajów i języka polskiego. Stwierdził to szereg świadków, a nie sposób powiedzieć, że przytoczone przez nich fakty stanowią tylko sporadyczne omyłki sądowe. Omyłki są do przebaczenia, jeżeli jest morze dobrego, a w niem tylko kilka kropli złego, ale co powiedzieć, gdy przed nami całe morze złego, a dobrego tylko rzadkie kropelki.

To, co napisał Strzembosz, leżało oddawna na sercu wszystkim, to odczuwało całe społeczeństwo, które wyrosło w tych smutnych dla siebie warunkach. Czy podobna, ażeby prace nasze, tak bogate i tak liczne, zapoczątkowane jeszcze w 1348-ym r. z zasadą jawności sądów i obroną, oparte na statucie wiślickim, na „Volumina legum", związane z zasadami prawa rzymskiego, a znów od 1815 roku z kodeksem Napoleona, z postanowieniami sejmu polskiego, potem z postanowieniami księcia namiestnika, z wydoskonaloną ustawą hipoteczną, z 72-ma tomami „Dziennika praw", czyż podobna, ażeby te wszystkie prawa poznać mógł odrazu przybywający do nas ze środkowych gubernij sędzia Rosyanin, który zna tylko swoje prawa rosyjskie, całkiem odmienne. Czy podobna, ażeby się z temi prawami mógł zaznajomić w tym czasie, kiedy już przystępuje w kraju naszym do wymiaru sprawiedliwości właśnie na podstawie tychże praw.

Mówili świadkowie, że wraz ze studentami uczęszczali do uniwersytetu warszawskiego na wykłady prawa cywilnego: prezes III departamentu cywilnego izby sądowej (p. Świeczyńskij) i tejże izby podprokurator Rymskij-Korsakow. Bardzo to chwalebnie, że ci panowie chcieli się uczyć, ale czy nie zapóźno? Inni byli sędziowie Polacy przed zaprowadzeniem reformy sądowej u nas w 1876 r. Wtedy, gdyby kto z nich nie poczuwał się do należytej znajomości prawa, samby dobrowolnie urząd opuścił. A dziś, jak stwierdza statystyka urzędowa, obecnie w Królestwie Polskiem na 590 sądowników jest tylko 24-ch Polaków, t. j. zaledwie 4%, a takich Rosyan, którzy skończyli uniwersytet warszawski — jest zaledwie setka.

W artykule Strzembosza jest jeszcze mowa, że gdy adwokaci warszawscy otrzymali zaproszenie do udziału wraz z sądownikami Rosyanami w obchodzie jubileuszu zaprowadzenia w Królestwie Polskiem reformy sądowej z 1876-go r., uważali to dla siebie za obrazę, gdyż był to jubileusz wyrugowania od nas dawnych sądów polskich. Była w tem zaproszeniu jakoby chęć znęcania się nad nami.

Bo czyżbyście panowie sędziowie zaprosili Francuzów na obchód swej rocznicy wybawienia Rosyi od najścia Gallów, a z nim dwunastu języków; wyglądałoby to tak, jakby was zapraszali Japończycy na obchód rocznicy bitwy pod Cuszimą. A jednak nas na ów jubileusz śmiano zapraszać. Bo my jesteśmy zwyciężeni, bo „*vae victis*, biada zwyciężonym!". Ale zapamiętajcie, że losy historyi, to losy narodów. I Rzym był wielki i państwo mahometańskie było wielkie. I wielką to jest prawdą, co powiedziano w dziejach: *Fortuna variabilis, Deus mirabilis.* (Los zmienny jest, a Bóg czyni cuda).

Wreszcie czyż można czynić zarzut Strzemboszowi, że wystąpił w obronie polskiego, ojczystego języka, gdy ten język, pomimo tak wielkiej kultury, pomimo naszej literatury świetnej tak wciąż jest ujarzmiany i prześladowany. Ale jakiekolwiek stawiać będą tamy dla fali kultury polskiej, rzeka ta płynąć będzie, choćby się miała nawet płynąc, żalić; i zawsze płynąć będzie, im większe jej będą stawiali przeszkody, tem bardziej pogłębiać będzie swe łożysko, aż wszelkie zapory zerwie.

Na Strzemboszu nie ciąży żadna wina, to, co on wypowiedział, tkwi w duszy każdego z nas, z temi myślami każdy z nas kładzie się spać i z niemi znów wstaje rano. Głos Strzembosza jest głosem całego naszego społeczeństwa.

Za adw. Józefem Szyffem obronę wniósł adw. Chrystowski, b. poseł.

W przemówieniu z nader umiejętną argumentacyą wykazał, że Szyff w artykule swoim nie przytacza faktów, tylko swoje poglądy, a za wypowiedzenie poglądów karany być nie może. Co więcej, jego poglądy nie są wcale błędne. W jakim celu przybywają do nas sądownicy rosyjscy, jeżeli nie dla karyery? Ich nęcą tu i zatrzymują u nas te wszelkie ulgi i dodatkowe dopłaty do pensyi, przywiązane do posad w Królestwie dla sądowników Rosyan.

Obrazić swym artykułem Szyff nikogo nie chciał, stwierdził tylko prawdę istniejącą. Jego artykuł był tylko odpowiedzią na artykuł Strzembosza. Z reformą sądową 1876 r., w ciągu następnych lat 30, amputowano ciągle różne części naszego organizmu.

Jednakże nasz organizm narodowy posiada taką żywotność, że zaledwie błysnął pierwszy promień słońca z Ukazem 30 października r. z., organizm poczuł w sobie siłę do odzyskania tego, czego wprzód go pozbawiono. I szukać zaczęto rady. Strzembosz, idealista, mniemał, że odezwa do sędziów Rosyan wywoła pożądany rezultat, że ich przekona i nakłoni do ustąpienia.

Szyff, trzeźwy, sceptyczny, przeczytawszy artykuł Strzembosza, uznał jego nadzieje za nieziszczalne marzycielstwo. Napisał zaraz swój artykuł, nie widząc się wcale ze Strzemboszem, napisał szybko i wydrukował.

Ale to są jego myśli, jego poglądy, ale nie wymyślanie. On chciał tylko dowieść, że nie trzeba dać się unosić fantazyi, że inaczej trzeba patrzeć na kwestyę. Nie ma w jego artykule obelżywych wymysłów, nie ma obrazy, więc nie może być kary.

Adw. Papieski w obronie redaktora Fryzego zaznaczył, że nie chce kłaść zbytniego nacisku na formalną stronę inkryminowanej winy jego klientowi, nie może jednak pominąć milczeniem wyjaśnienia, jakie redaktor Fryze złożył u sędziego śledczego. Z zestawienia odpowiednich przepisów kodeksu karnego, ustawy prasowej i ustawy cenzuralnej wynika, że nie może być mowy o odpowiedzialności redaktora nawet w tym wypadku, gdy zamieszczone w jego piśmie inkryminowane artykuły podpisane są nazwiskami autorów, choćby istotnie zawierały w sobie cechy jakiegoś przestępstwa.

Wspomniane artykuły jednak, pisane krwią i bólem znanych powszechnie kolegów zawierały w sobie tylko rzetelną prawdę, stwierdzoną przez świadków, były wyrazem uczuć nietylko całej adwokatury polskiej, ale i całego myślącego społeczeństwa. Zamieszczenie w piśmie tych szczerych głosów przedstawicieli palestry polskiej było obywatelskim obowiązkiem redaktora. I oto zdawało się, że po zniesieniu cenzury, po zniknięciu jej czerwonego ołówka, ta krępowana do niedawna myśl polska może się nareszcie odezwać bezkarnie; może wreszcie rzucić świetne słowo krytyki z powodu działalności ludzi, piastujących u nas władzę.

Nie wątpię ani na chwilę — dodał obrońca — że zrozumiecie panowie sędziowie istotny cel zamieszczenia artykułów przez redaktora w jego piśmie i że wyrokiem swoim stwierdzicie, iż spełnił on tylko swój obowiązek.

Zabrał głos oskarż. Strzembosz:

Napisałem mój artykuł z poczucia obowiązku obywatelskiego. Sądziłem, że przyszła chwila, kiedy nie mogłem nie poruszyć sprawy wadliwego ustroju sądownictwa w kraju naszym, przemówił przezemnie głos człowieka, który przez całe swoje życie słyszał i widział, jak poniżano język polski, jak prześladowano polskość.

Należę do tego pokolenia, któremu w szkołach wykładano nawet język polski i religię w języku rosyjskim; jako uczeń karany byłem za każdą przeczytaną książkę polską, za każdą rozmowę polską. Kazano mi się wypierać tego, co w domu, w rodzinie przekazano mi jako największą świętość i co dotychczas ponad życie swoje cenię. I o ironio! wmawiano we mnie, że to wszystko dla własnej mojej korzyści. Gdym wszedł w życie, jako młody prawnik, doznawałem na każdym kroku rozczarowania. Mniemałem, że sąd jest tylko po to, aby wymierzał sprawiedliwość, a widziałem, że zmierza u nas i do innych celów, że jest nietylko przybytkiem wymiaru sprawiedliwości.

Był np. w Warszawie sędzia pokoju, który, robiąc ciągle szykany wszystkim interesantom, z cyniczną szczerością oświadczył, iż nienawidzi Polaków. I pomyślałem, dziwny sędzia „pokoju", co nienawidzi ludności, wśród której ma „pokój" czynić.

Gdy urzędowałem w sądzie handlowym, uderzało mnie surowe prześladowanie polskości. Nie zapomnę epizodu, gdy w sprawie miano badać świadka. Komplet sądu stanowili Polacy, sekretarzem był Polak, obrońcy i świadkowie Polacy. Sekretarzom jednak nie wolno było pisać zeznań po polsku, musiano wezwać tłomacza.

Przyszedł tłomacz, ale okazało się, że jest nim człowiek, który prawie wcale nie rozumie po polsku. Odbieranie i zapisywanie zeznań sprawiało wrażenie operetki, audytoryum szczerze się śmiało — a ja znowu myślałem, że sąd u nas nietylko wymiar sprawiedliwości ma na względzie.

Widziałem wielką niesprawiedliwość w obsadzaniu posad sądowych. Gdy naprzykład w w sądzie handlowym jest sędzia, który zajmuje stanowisko w sądownictwie już od 1869 roku, na urzędzie wiceprezesa w tymże sądzie jest człowiek, który skończył uniwersytet dopiero w r. 1894.

Więc kiedy pierwszy z nich pracował już jako sądownik po skończeniu uniwersytetu, drugi jeszcze nie był na świecie, a jednak obecnie jest już jego zwierzchnikiem. A wiem, że gdy była jaka poważna kwestya prawna do rozwiązania, to zawsze „władza" sądowa udawała się do pomijanego weterana po poradę.

I nie mogły mi do głowy nie przychodzić różne myśli, skoro wiedziałem, że właśnie ten pomijany weteran ma w liście stanu swej służby wyraz: katolik, a więc Polak.

I mógłbym wam przytoczyć, panowie sędziowie, mnóstwo, mnóstwo jeszcze przykładów, które świadczą, że sądy u nas służą nietylko idei sprawiedliwości.

Wiem jako prawnik, jako adwokat, jak ważnym czynnikiem w rozwoju cywilizacyjnym narodu są sądy i prawidłowy wymiar sprawiedliwości; sądziłem więc, gdy skasowana została cenzura, gdy ogłoszono wolność słowa, że obowiązkiem moim było zabrać głos w tak ważnej sprawie. Sądziłem, że artykuł mój będzie początkiem dyskusyi w tej ważnej sprawie. Sądziłem, że do wyjaśnienia sprawy przyczynią się i bezstronni sądownicy rosyjscy. Pomyliłem się jednak, bo w odpowiedzi na mój głos zobaczyłem kułak w postaci aktu oskarżenia.

Adw. Szyff gorąco przemówił w swojem ostatniem słowie. Widział on jeszcze starych sędziów polskich, gdy na ostatniem posiedzeniu przed zaprowadzeniem reformy sądowej w 1876 r. ze łzami opuszczali swe stanowiska sędziowskie, widział i ten nowy zastęp młodzieży rosyjskiej, która przyszła, aby następcami być starców. Przyszła z odwagą, ale bez nauki, bez wiedzy, po to, ażeby objąć posady, ze specyalnemi dla nich przywilejami pieniężnemi. My wszyscy pracujemy dla zarobku, i ja i wy, pp. sędziowie; ja i do tamtych nie mam pretensyi, że chcą pobierać płacę za swą pracę, ale ja tylko chcę, ażeby oni pracowali nie u nas, tylko u siebie.

Co zaś do mej sprawy, którą dziś rozstrzygacie, to chociaż za wyborną obronę, wdzięczny jestem koledze Chrystowskiemu, nie mogę sam, będąc adwokatem, nie dodać jeszcze pewnych wyjaśnień. Przedewszystkiem wiedzcie pp. sędziowie, że ja was nie proszę o żadną łaskę, o żadne pobłażanie. Jeżeli jestem winien, ukarzcie mnie. Ja nie powoływałem żadnych świadków, bo mojem zdaniem, nie ja powinienem dowodzić mej niewinności, lecz prokurator winien udowodnić moją winę, jeżeli ona istnieje.

P. prokurator powinien był tutaj wezwać wszystkich tych sędziów śledczych, sędziów pokoju, okręgowych, prokuratorów i prezesów. A wtedy jabym zapytał jednego prezesa, czy przy-

znaje, że chwalił się tem, iż ani słówka nie rozumie po polsku, choć jest od 28 lat prezesem tu u nas.

Jabym go zapytał, czy ja kłamię. I wtedy jabym zapytał innego też prezesa, czy przed kilku tygodniami nie krzyczał: „Po jakiemu pan mówisz? Tu nie rozumie się po polsku". Niechby powiedział mi w oczy, czy ja kłamię. Ale p. prokurator nie sprowadził tych pp. dygnitarzy, a ja ich sprowadzić nie mam mocy, bo oni nas traktują jak niewolników swoich. Więc powiem im wraz z Dantem poetą: „Jeżeli mamy być niewolnikami, to będziemy takimi niewolnikami, którzy nie przestaną szemrać, przenigdy!".

W sali ozwały się grzmiące oklaski.

Narady sędziów trwały niespełna godzinę. Wyrok uniewinniający wszystkich oskarżonych powitano hucznymi oklaskami.

Wypadki w Rosyi.

Moskwa. Ponieważ w auli i salach wykładowych tutejszego uniwersytetu odbywały się i nadal odbywają się zgromadzenia rewolucyjne, podczas których zbierane są składki na zabronione cele, a ponadto w zebraniach tych uczestniczą osoby z poza obrębu uniwersytetu, wystosowały władze rządowe do rektora Manuiłowa surową naganę, czyniąc jego za wszystko odpowiedzialnym i grożąc mu krokami sądowymi. Rektor postanowił zrzec się godności rektorskiej.

Petersburg. Przed niedawnym czasem ogłoszony program „Związku 30 października" sprawił w sferach rządowych dobre wrażenie. *Rossia* pisze: Wszyscy przyjaciele pokojowego rozwoju Rosyi, którzy uważają rewolucyę za wroga wolności i owocnej pracy, nabiorą z programu październikowców pewności, że ich przekonania są słuszne i żywotne.

Juzówka. We wsi Lichoje miały miejsce zaburzenia włościańskie, połączone z podpaleniami folwarków właściciela dóbr Grekowa. Aresztowano podpalaczy. Sąd wojenny polowy skazał 12 członków bandy, która teroryzowała ludność, na karę śmierci.

Onegdaj z wyroku sądu polowego wojennego, rozstrzelano 6-ciu terorystów, skazanych poprzednio.

Błagowieszczeńsk. Wojenny sąd okręgowy za nieposłuszeństwo władzy skazał na karę śmierci 4-ch szeregowców.

Dziewięćdziesięciu szeregowców artyleryi, którzy nie odpowiedzieli na powitanie oficera, skazano na przeniesienie do batalionu dyscyplinarnego.

Helsingfors. Zjazd kadetów zamknięto.

Kielce. Dziś o godzinie 6-tej zrana rozstrzelano znów za bandytyzm dwóch skazańców: Piotra Orłowa i Józefa Grzybka. Jest to już szósta egzekucya z rzędu od zaprowadzenia sądów polowych.

KRONIKA.

Lwów 15 października.

Mianowania. Minister sprawiedliwości zamianował oficyała kancelaryjnego Stefana Pasławskiego w Tarnopolu naczelnikiem kancelaryi sądowej w Stanisławowie.

Nowe szkoły gimnazyalne w Galicyi. W budżecie na rok 1907 znajdują się pozycye na trzy nowe gimnazya polskie w Galicyi, a mianowicie gimnazyum polskie w Trembowli, drugie gimnazyum polskie w Przemyślu (zamiast filii na Zasaniu) i drugie polskie gimnazyum w Stanisławowie. Gimnazyum ruskie w Tarnopolu figuruje jako samoistne gimnazyum w miejsce paralelek ruskich. Na filię gimnazyum ruskiego we Lwowie przeznaczono w budżecie pozycyę, ale szkół realnych i seminaryów w Galicyi budżet nie przewiduje.

Kongres partyi „Poalej Sion" zakończył swoje obrady w sobotę wieczór. Prócz spraw wewnętrznych partyi, dotyczących organizacyi, taktyki, funduszów i prasy, załatwiono na podstawie referatu dr. Kaplańskiego sprawę nowego programu partyi. Wedle tego programu partya ta, o nazwie „żydowska socyalistyczna partya robotnicza Poalej-Sion", stoi na zasadach socyalizmu naukowego, a jako najważniejszy punkt programu, równobrzmiącego z programem partyi socyalno-demokratycznej, uważa terytoryalne rozwiązanie kwestyi żydowskiej w Palestynie. Aż do chwili jednak urzeczywistnienia tego najważniejszego punktu programowego partya poalej-syonistyczna dąży do uzyskania pełnego równouprawnienia dla narodu żydowskiego na podstawie narodowej autonomii.

Polemika naukowa w hajdamackim stylu. Jeden z młodych literatów ruskich, który przeważnie zajmuje się dotąd pisaniem krótkich nowelek, niejaki pan dr. Wasyl Szczurat, nauczyciel gimnazyalny w Brodach, napisał rozprawę w której dowodzi, ni mniej ni więcej, jak tylko, iż starodawny hymn *Bogarodzico* nie jest własnością Polaków, ale że Polacy przywłaszczyli go sobie od Rusinów i kłamliwie przedstawiają go jako utwór polski. Profesor Brückner z Berlina, niewątpliwie jeden z najznakomitszych badaczy dziejów literatury polskiej, wykazał, że pan Szczurat myli się — naturalnie wykazał to dowodami ściśle przedmiotowymi, źródłowymi. Cóż na to pan Szczurat? Oto, zamiast odpowiedzieć tej miary uczonemu, jak profesor Brückner (jeżeli już nie zechciał uznać się przekonanym), w tonie poważnym i przyzwoitym, odpowiadającym godności wymiany zdań w sprawach naukowych, odpowiedział mu w *Dile* artykułem, pełnym, zamiast argumentów, przezwisk. Nazywa go w swojej odpowiedzi wielkim szarlatanem, oszustem (*durysicit*), spekulantem na słowiańską głupotę i na rzymską prostoduszność (!?), fałszerzem, denuncyantem i t. d. Profesor Brückner, Lwowianin, właśnie bawił tu w odwiedzinach u krewnych, gdy pojawił się ów artykuł p. Szczurata w *Dile*. Nie wiemy, czy go czytał. Ale jeżeli czytał, musiał zapewne szanowny profesor uśmiechnąć się nie-serdecznie i pomyślał:

— Tak, panie Szczurat, to są przezwiska grubiańskie, ale gdzie argumenta — *argumenta?!*

Nie źle to próbka przejawu ducha hajdamaczyzny w dziedzinie rozpraw z zakresu tych naukowych.

O mandaty żydowskie w Galicyi. Jakeśmy w sobotę donieśli, udała się deputacya żydów lwowskich do Wiednia, aby starać się w Kole polskiem o zmianę rozkładu mandatów miejskich na korzyść żydów. Otóż deputacya ta wyraziła życzenie, aby dla żydów galicyjskich utworzono 8 okręgów wyborczych i w tym celu postawiła wnioski odpowiedniej zmiany podziału okręgów wyborczych, już zatwierdzonych przez komisyę. Prezes Koła polskiego p. Abrahamowicz oświadczył, że zmiana podziału okręgów, której się domagają, przedstawia wielkie trudności, obiecał jednak uczynić, co będzie możliwe, ażeby zadośćuczynić życzeniu ludności żydowskiej w Galicyi.

Schronisko dla opuszczonych dzieci, ufundowane przez p. Marczewską, otwarto tymi dniami w Nowym Sączu. Schronisko mieści się w dużym i schludnym budynku, zakupionym wraz z ogrodem przez szlachetną ofiarodawczynię. Jest tam kaplica, sala szkolna, jadalnia, szatnia i umywalnia i t. p. Schronisko oddane zostanie dziś do użytku.

† **Alfred Dzikowski**, jeden z najbardziej znanych i zasłużonych kupców lwowskich, złożony został wczoraj do grobu wśród ogromnie licznego udziału publiczności. Był to bowiem mąż bardzo prawy, zacny, uczynny, skory do wszelkich prac dla dobra kraju i miasta, a nadto bardzo wykształcony. W pierwszych dniach bieżącego miesiąca, kiedy zapanowały takie chłody we Lwowie, przeziębił się lekko, dostał influenzy. Zdawało się, że choroba ma przebieg normalny i że wkrótce ustąpi. Tymczasem stało się inaczej, do influenzy przyłączyło się zapalenie płuc i niebawem ich paraliż. Dla kupieckiego świata we Lwowie śmierć ś. p. Dzikowskiego jest wielką stratą. *R. i. p.*

Z teatru. W nauce: „La Bestia", dramat w 5 aktach Jerzego Żuławskiego. — „Eugeniusz Onegin", opera w 3 aktach Czajkowskiego. — „Dziady" Adama Mickiewicza, sceny dramatyczne według układu scenicznego Stanisława Wyspiańskiego.

Ojcobójstwo. W Mszanie koło Bartatowa włościanin Michał Michajliszyn zamordował w sobotę siekierą swego ojca, także Michała, i uciekł, zdaje się, do Lwowa.

Sensacyjne samobójstwo. Ze stolicy Brazylii z Rio de Janeiro nadchodzi bardzo zajmująca wiadomość. Oto w mieście tem słynnym był młody milioner i wódz tamecznej złotej młodzieży, niejaki Ameida. Prowadził on życie hulaszcze, oddawał się tylko kartom, pijactwu i rozpuście, przyczem wyprawiał tysiączne ekstrawagancye, z powodu których był zawsze na językach wszystkich mieszkańców stolicy, a dzienniki musiały się ciągle nim zajmować. Tymi dniami po sutej libacyi w towarzystwie wesołych kobiet i przyjaciół udał się p. Ameida do goszczącej w Rio menażeryi, a przekupiwszy służbę wszedł sam, bez pogromcy do klatki z lwami. Naturalnie, królom pustyni nie podobała się ta familiarność, rzucili się na młodzieńca i zanim pogromca wpadł, żeby go uratować, pokaleczyli go strasznie. Nieprzytomnego wyniesiono z klatki. W kilka godzin potem odzyskał on przytomność na chwilę i wtedy oświadczył, że życie hulaszcze, pozbawione wszelkiej moralnej treści, obrzydło mu do tego stopnia, że chciał popełnić samobójstwo w sposób jakiś nowy, nie tuzinkowy, a przytem sensacyjny. W parę godzin potem umarł.

Ze statystyki Poznania. Według ostatnich wykazów, stolica Wielkopolski liczy obecnie 137 tysięcy mieszkańców. W tej liczbie 78.000 Polaków i 58.000 Niemców. Ludność polska stale w Poznaniu wzrasta. W roku 1890 Polacy stanowili 50.76% mieszkańców Poznania, a Niemcy 49.09%; teraz zaś Polacy liczą 57.13%, a Niemcy spadli do 47.72%. Również zmniejsza się liczba żydów w Poznaniu, którzy prawie wszyscy zapisują się tam do ludności niemieckiej. Teraz w Poznaniu jest ich zaledwie 5.811, co stanowi 4.2% ogólnej liczby mieszkańców. Przed 30-tu laty ludność żydowska stanowiła 12% Poznania.

Podróż bez napiwków. Pewien zamożny obywatel, któremu nie chodziło wcale o wydatki, ale o zasadę przedsięwziął podróż przez Niemcy i Szwajcaryę, postanowiwszy sobie, że nie będzie dawał żadnych napiwków. Otóż wybrał się on w drogę w mniemaniu, że cały personal hotelowy powinien otrzymywać tak wysokie wynagrodzenie, aby nie potrzebował przyjmować żadnych napiwków, bo one temu stanowi tylko ujmę przynoszą. Nie znalazł on jednak żadnego hotelu, w którymby jego zdanie znalazło urzeczywistnienie, to też zebrał jak najsmutniejsze doświadczenia. Oto, co go spotkało: W podróż wybrał się był z żoną i z córką. Nie minął tydzień, opuściły go one i wróciły do domu oburzone i znękane niewygodami, na jakie były narażone, i złorzeczeniami, które im w twarz miotano. Na kufrach ich nieznana ręka umieściła tajemnicze hieroglify, które tylko służba hotelowa umiała odcyfrować, a oznajmiały one, że właściciele tobołków podróżnych nie dają napiwków.

Skutki tajnych tych listów gończych ujawniły się wcześniej, niż się tego spodziewać było można. Na dworcu kolejowym oznajmił im portyer, że hotel, do którego pragnęli zajechać, jest zajęty. — W omnibusie hotelowym nie było miejsca dla nich, nikogo nie było, by zaniósł pakunki do dorożki, a w hotelu obchodzono się nielitościwie z kuframi, rzucając je na ziemię, i uszkadzając je. Pokojowa dawała na siebie czekać po pół godziny; przy stole otrzymywali najgorsze miejsca, obsługiwano ich na samym ostatku, a wszelkie zażalenia u zarządu hotelowego nie odnosiły żadnego skutku. Rezultat podróży był następujący: Trzy razy zapóźnili się na pociąg kolejowy, bo nie było można znaleźć pakunków, dwie pary nowych trzewików w tajemniczy sposób potargały się, jedna suknia, trzy bluzki i dwa garnitury męskie miały na sobie po kilkanaście plam od atramentu.

Temperatura dnia 12 października o godz. 7 rano wynosiła: w Galicyi zachodniej +1, we Lwowie +5, w Tarnopolu +6, w Czerniowcach +4, w Wiedniu +7, w Salcburgu +6, w Gracu +2, w Pradze +5, w Tryeście +12, w Abbazyi +10, w Raguzie +14, w Budapeszcie +4, w Berlinie +7, w Hamburgu +6, w Monachium +7, w Zurychu +9, w Genewie +8, w Lugano +10, w Anglii +9, w Paryżu +12, w Biarritz +15, w Nizzy +15, w północnych Włoszech +9, we Florencyi +15, w Rzymie +16, w Neapolu +14, w Palermo +19, w Madrycie +6, w Sztokholmie +8, w Petersburgu +4, w Wilnie +6, w Warszawie +9, w Moskwie +3, w Kijowie +5, w Odessie +6, w Serajewie +1, w Belgradzie +5, w Bukareszcie +5, w Sofii +3, w Konstantynopolu +10, w Atenach +10. (Temperatura według Celsiusza).

Zachmurzenie w Anglii, we Francyi, w Szwajcaryi, we Włoszech i na półwyspie bałkańskim; zresztą pogoda. Deszcze we Włoszech i we Francyi.

Zmarli. W Kalinowszczyznie, w pow. czortkowskim, Władysław Ochocki, właściciel dóbr, w 82 roku życia.

Stan powietrza. T. o godz. 7 rano +7 R. w poł. +14 R. w cieniu, +20 na słońcu. Bar. 765. Nieruchomy. Prześliczna pogoda.

Roztropna.

— Aż cztery rachunki modniarki odrazu!... To do niczego nie podobne!

— Ależ proszę papy, nie chciałam go cztery razy na gniew narażać!

Odpowiedzi Redakcyi. *Przew. X. Korneli Senyk w Bereźnicy królewskiej*. Zasięgaliśmy informacyi w biurach dzienników co do pisma *Pośrednik*, o które Przew. xiądz nas zapytuje. I otrzymaliśmy odpowiedź, że pismo to zbankrutowało, a gdzie się podzieli jego wydawcy i redaktorowie, tego nikt nie wie.

Widowiska i koncerty.

Repertuar teatru miejskiego. Dziś: „A Pippa tańczy!" baśń huty szklanej G. Hauptmanna. We wtorek „Lalka," operetka E. Audran'a, z p. Kliszewską w roli tytułowej. — We środę po raz pierwszy (wznowienie) „Dziewica Orleańska," tragedya w 5 aktach Fryderyka Schillera.—We czwartek „Werther," opera w 4 a. Masseneta. — W piątek „Dziewica Orleańska," tragedya Schillera. — W sobotę popołudniu (przedstawienie dla młodzieży szkolnej): „Kościuszko pod Racławicami," wieczorem „Samson i Dalila," opera w 4 a. Saint-Saënsa.—W niedzielę popołudniu „Halka," opera narodowa w 4 a. Stan. Meniuszki, wieczorem „Dziewica Orleańska."— W poniedziałek „Dziewica Orleańska". — We wtorek „Opowieści Hoffmana," opera fantastyczna J. Offenbacha. — We środę po raz pierwszy „Maman Colibri," komedya w 4 aktach Henryka Bataille.

Repertuar teatru krakowskiego. We środę „Barbarzyńcy," sztuka w 4 aktach M. Gorkiego (popularne). — We czwartek „Loulou". — W piątek teatr zamknięty. — W sobotę „Bodenheim," sztuka w 5 aktach wierszem Lucyana Rydla (nowość). — W niedzielę „Bodenheim".

Colosseum Hermanów. Od 1 do 15 października. Olbrzymi program nowości. Granto and Maud, sensacyjni tancerze na drucie. — The Namruys. olbrzymie organy bambusowe. — Querida & Tich, jako „Żywy bioskop". — „Wyspa Tulipaton," operetka Offenbacha. — W niedzielę i święta dwa przedtsawienia: o godz. 4 i 8.

Literatura i sztuka.

* **Z opery**. Wystawiona w sobotę opera Bizeta „Carmen", wykonana była pod względem orkiestralnym bardzo starannie. Pan Ribera dyrygował świetnie, a orkiestra inteligentnie odpowiadała jego intencyom. Również wszystkich zadowoliła p. Oleska w roli tytułowej. Pod względem wokalnym nie mamy jej nic do zarzucenia, a aryę z kartami odśpiewała tak dobrze, jak mało która z artystek, słyszanych dotąd na naszej scenie. Była też o tyle figlarną w pierwszym i drugim akcie, o ile figlarność daje się pogodzić z zimnym i poważnym jej temperamentem. Bardzo dobrym był także pan Malawski w roli don Josego. Artysta ten jednak musi stanowczo energicznie dokładać usiłowań do tego, ażeby wyraźnie wymawiał. Piękny jego głos, temperament sceniczny, ogromna inteligencya artystyczna, umiejętność śpiewu i rutyna aktorska, wszystko to razem łączy się w całość, którąby p. Malawskiego postawiła bardzo wysoko w świecie teatralnym, gdyby posiadał jasną i wyraźną dykcyę i dawał słuchaczowi możność zrozumienia tego, co śpiewa. Dopóki tego nie wyrobi w sobie p. Malawski, dopóty nigdy nie stanie na tej wyżynie, na którą jego inne przymioty usiłują go wprowadzić.

Świetną dykcyę i deklamacyę posiada p. Zaremba. Ma nadto wszystkie inne fizyczne warunki bardzo odpowiednie do ról bohaterskich. Jest wzrostu słusznego, zbudowany bardzo dobrze i proporcyonalnie, wygląda na scenie okazale; ma temperament sceniczny, czuje to, co śpiewa i cieniuje bardzo dobrze. Ale głos jego piękny i rozległy, o barwie nader sympatycznej, wymaga jeszcze stanowczo długiej i mozolnej pracy.

Jeszcze więcej pracy, jeszcze dłuższej i mozolniejszej, wymaga głos panny Hendrichównej. Jest to bowiem głos gardlany, w dolnym rejestrze bez barw, a w górnym krzykliwy zupełnie. Wychodząc ze ścieśnionego gardła jest on prawie zawsze fałszywy w wysokich tonach, a jednak jestto głos piękny. Ponieważ zaś ta artystka posiada wszystkie inne warunki, jest bardzo muzykalną, żywą, inteligentną i przystojną, przeto — jeżeli głos swój przerobi — stanie się niezawodnie chlubą naszej sceny.

To samo słowo w słowo powtórzyć musimy o pannie Markównie. Ona także posiada przedziwnie piękny materyał w stanie zupełnie surowym i ma gardlaną emisyę głosu.

Obie te panie, jeżeli nie będą się uczyły śpiewania prawidłowego, to do lat kilku zniszczą zupełnie swój głos, dzięki fałszywej emisyi i zejdą ze sceny, nie sprawiwszy na niej nikomu prawdziwych estetycznych wrażeń. Jeżeli zaś oddadzą się nauce sumiennej i porządnej, to samo wypisanie nazwiska ich na afiszu, będzie już atrakcyą dla publiczności.

Chóry trzymały się źle i przedstawiały obraz zupełnej anarchii. Osoby, należące do naszych chórów, nie dbają wcale o to, żeby widz miał jakieś artystyczne złudzenie. Wchodzą na scenę nie stamtąd, skąd powinny wchodzić, tylko stamtąd, gdzie jest bliżej do ich garderoby; wychodzą nie tam, gdzie powinny wychodzić, tylko tam, gdzie krótsza droga do flirtu lub na papierosa; a na scenie zachowują się ospale, leniwo, nie biorąc żadnego udziału w akcyi scenicznej. Dyrekcya musi je wziąć żelazną ręką i poddać surowej dyscyplinie — inaczej przedstawienia nasze operowe będą zawsze raziły inteligentną publiczność.

Teatr był prawie pełny.

* **Kalendarze** na rok 1907 zaczynają się już pojawiać w handlu księgarskim. Dotychczas wyszły między innymi:

„Illustrowany kalendarz powszechny galicyjski" (rocznik 58), nakładem E. Winiarza. Układ jego pozostał taki sam, jak lat poprzednich. Najpierw mamy więc starannie ugrupowany dział kalendarzowy, później illustrowaną część literacką, wreszcie bogaty dział informacyjny.

Nakładem tej samej firmy wyszły jeszcze: *„Kalendarz ścienny na rok 1907"*, oraz *„Kalendarzyk kieszonkowy"*.

Na pochlebną wzmiankę zasługuje bardzo obfity i ładnie wydany *„Kalendarz Kółek rolniczych"*, który wychodzi już od trzech lat w takiej pięknej szacie, staraniem Zarządu głównego Towarzystwa Kółek rolniczych. Tu w obfitym bardzo dziale literackim, między bardzo odpowiednio dobranemi nowelami i poemacikami znajdują się doskonałe fachowe artykuły wielką korzyść rolnikom przynieść mogące, naprzykład: prof. dra Kazimierza Miczyńskiego artykuł, traktujący o tem, jaki jest pożytek z uprawy dobrych odmian roślin i jak można te dobre odmiany wytwarzać. Jana Profica studyum „O zielonych nawozach"; Walczaka „O uprawie warzyw"; Poluszyńskiego „Jak pielęgnować drzewka owocowe"; artykuł o włościach rentowych i wiele innych. Tytułową kartę zdobi ładny obrazek Jana Bukowskiego „Orka".

* **Macierz Polska** Jako nr. 86 Wydawnictw Macierzy Polskiej wyszła książeczka I. Fronia p. t. „Wyrób win owocowych, powideł i chleba owocowego". Autor poucza najpierw, jak się wyrabia jabłeczniak. Tu mówi o jakości owocu, miażdżeniu i prasowaniu, oznaczaniu ilości cukru i kwasu, o fermentacyi, gospodarstwie piwnicznem, napełnianiu beczek moszczem, ściąganiu wina i t. d. Zastanawia się nad chorobami wina, podaje sposoby usunięcia wad. Następnie opisuje wyrób porzeczniaku, wina szampańskiego, agrestniaku, wina ostrężynowego, maliniaku, wina wiśniowego i czereśniowego. Podobnie też daje przepisy na wyrabianie powideł z gruszek, jabłek i śliw, a nakoniec na wyrób chleba owocowego. Książeczka przeznaczona jest przedewszystkiem dla gospodarzy zamożniejszych, którzy mogą poświęcić kilkadziesiąt koron na sprawienie potrzebnych maszyn i przyrządów. Jak się z młynkiem, prasą, areometrem, kwasomierzem i t. d. obchodzić, o tem pouczają ryciny w liczbie piętnastu. Książeczka (65 stron druku) kosztuje 40 hal.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 13 pażdziernika.

(Z). Preliminarz budżetu państwowego na r. 1907, tudzież *exposé* finansowe, wygłoszone wczoraj w Izbie poselskiej przez dr. Korytowskiego, wywarły na giełdzie doskonałe wrażenie i dały impuls do dosyć znacznej zwyżki kursów. Ma to tem większe znaczenie, że właściwie musiała giełda wiedeńska płynąć dziś przeciw prądowi, gdyż ze wszystkich targów zagranicznych nadchodziły słabe doniesienia.

Na specyalną wzmiankę zasługuje podniesienie się kursu renty austryackiej powyżej 99. Jak na obecną ogólną drożyznę pieniędzy jest to kurs nadzwyczaj korzystny.

Bardzo sympatyczne echo w sferach giełdowych znalazła zapowiedź ministra finansów gorliwego popierania eksportu przez państwo, poparta przeznaczeniem na ten cel z nadwyżek kasowych sumy miliona koron. Jakoż już zaczynają kursować w sferach giełdowych pogłoski, iż najwybitniejsze instytucye finansowe w Austryi i na Węgrzech powołać mają do życia wielkie przedsiębiorstwo celem utrzymywania regularnego obrotu handlowego z Lewantem, Indyami, Chinami i Japonią.

Rozumie się samo przez się, że do najbardziej faworyzowanych walorów należały dziś akcye fabryk maszyn i wagonów. Zapowiedziane bowiem obstalunki lokomotyw i wagonów dla kolei państwowych zapewniają tym fabrykom korzystne zajęcia co najmniej do połowy przyszłego roku.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne).

Wiedeń. W hali ludowej w ratuszu odbył się wczoraj ogólny wiec urzędników pocztowych. Uchwalono rezolucye w sprawie awansu, skrócenia czasu służby do 35 lat, urlopów i spoczynku niedzielnego.

Na prowincyi odbył się również w dniu wczorajszym szereg zebrań urzędników pocztowych i uchwalono podobne rezolucye.

Budapeszt. Węg. Biuro korespondencyjne jest upoważnione do oświadczenia, że wczorajszy artykuł *Az Ujsag* pod tytułem „Król i hr. Gołuchowski" w całej swej osnowie jest nieprawdziwy. Podczas audyencyi dra Wekerlego u Monarchy sprawa ministra spraw zagranicznych Gołuchowskiego nie była wogóle poruszona.

Budapeszt. Węg. Biuro korespondencyjne donosi z Wiednia: „Wobec wczorajszego doniesienia *Az Ujsag* oświadczono nam ze strony kompetentnej: Nikt nie ma prawa posądzać ministra spraw zagranicznych Gołuchowskiego o to, że brak mu odwagi męskiej i poczucia konstytucyjnych obowiązków jego stanowiska, aby mógł myśleć o niepojawieniu się przed delegacyami. Insynuacyę tę musi się odeprzeć w sposób stanowczy. Zupełnie też nieprawdziwa jest wiadomość tego samego dziennika o stosunku węgierskiego przezydenta ministrów do ministra Gołuchowskiego,

(Depesze popołudniowe).

Praga. Wczoraj wieczorem odbyło się zgromadzenie wyborcze wiernokonstytucyjnej wielkiej własności, na którem w miejsce ustępującego przewodniczącego, hr. Oswalda Thun-Salma, wybrano przewodniczącym ks. Fürstenberga, zastępcą wybrano hr. Nostiza.

Kraków. Dziś w budynku miejskim przy ul. Karmelickiej otwarto urządzony staraniem Wydz. kraj., majsterski kurs szewski. Udział w nim bierze 14 majstrów.

Poznań. We wszystkich kościołach archidyecezyi odczytano wczoraj z ambon okólnik x. arcybiskupa Stablewskiego, w którym arcypasterz daje wyraz przekonaniu, że nauka religii odbywać się powinna bezwarunkowo w języku ojczystym, oraz wzywa rodziców, aby za pomocą gorliwej nauki w domu uzupełniali braki szkoły i tem staranniej dzieci swe wychowywali. Duchowieństwo z tem większą gorliwością poświęci się nauczaniu katechizmu.

Warszawa. Zawiązało się tu stowarzyszenie oficyalistów handlowych i przemysłowych, mające na celu rozwój umysłowy, moralny i materyalny członków.

Otwarto tu wyższe kursa handlowe, które mają zastępować, a z czasem zamienić się w Akademię handlową. Na razie otwarto trzy kursa, dwa przygotowawcze, a jeden specyalny dla słuchaczy, posiadających świadectwo dojrzałości. Dotychczas zapisało się 80 uczniów.

Komitet redakcyjny *Przeglądu historycznego* podał myśl i wypracował projekt statutu „Towarzystwa Miłośników Historyi", które onegdaj zalegalizowano. Celem Towarzystwa jest popieranie rozwoju nauk historycznych z szczególnem uwzględnieniem historyi polskiej. Organem Towarzystwa będzie *Przegląd historyczny*.

Kijów. *Dziennik kijowski* donosi o licznych rewizyach, przeważnie u urzędników południowo-rosyjskiego syndykatu rolnego. Prócz tego skonfiskowano podobno całą korespondencyę miejscowego komitetu partyi socyalno-demokratycznej. Aresztowano 3 urzędników zarządu kolejowego.

Moskwa. Między rektorem uniwersytetu a policmajstrem wybuchł zatarg, ponieważ policya zakazała odbycia zebrań studenckich w gmachu uniwersytetu. Wczoraj odbyła się w tej sprawie nadzwyczajna rada profesorska. Rektor i jego zastępca chcieli urząd złożyć, dali się jednak nakłonić przez innych profesorów do pozostania na stanowisku. Rada profesorów uchwaliła wysłać do ministra oświaty deputacyę, złożoną z rektora i dwóch profesorów, celem wyjaśnienia sytuacyi. Aż do powrotu deputacyi dnia 19 b. m. uniwersytet będzie zamknięty.

Petersburg. W miejscowości kąpielowej Piatygorsk na Kaukazie wtargnęli wczoraj wieczorem bandyci do pomieszkania zarządcy biura Nobla, zabili zarządcę, zrabowali 300 rubli i uciekli.

Paryż. Na stacyi Epernon (na południowy zachód od Paryża) nastąpiło zderzenie pociągu osobowego z ekspresowym. 9 osób zabitych, 11 zranionych.

Paryż. Według wykazu statystycznego wartość przywozu do Francyi wynosiła w pierwszych 9 miesiącach br. 3.824,065.000 fran. (3.506,270.000 franków w roku ubiegłym), a wartość wywozu 3.684.991.000 fr. (3.489,677.000 w roku ubiegłym).

Paryż. Podczas wczorajszych wyścigów przyszło do wykroczeń. Publiczność zaprotestowała przeciw orzeczeniu o wyniku pewnego biegu i domagała się zwrotu stawek. Zburzono biuro totalizatora i rozpędzono urzędników. Policya aresztowała 25 osób. Wielu policyantów zraniono.

Londyn. Kanclerz skarbu Asquith przyjął w Ladybann (w Szkocyi) deputacyę kobiet, która wyraziła prośbę o nadanie kobietom prawa głosowania. Asquith zaprzeczył, jakoby zwalczał był prawo głosowania kobiet, oświadczył jednak, że nie ma dowodu na to, iż większość kobiet domaga się tego prawa.

Kopenhaga. Na rekwizycyę policyi rosyjskiej. aresztowano tu wczoraj 3 robotników fińskich z Wyborga pod zarzutem, że w dniu 31 sierpnia napadli w Wyborgu na kasyera kolejowego i zrabowali 20.000 marek. Przy aresztowanych znaleziono kilka tysięcy koron w pieniądzach szwedzkich i finlandzkich, nabitą broń i paszport, wystawiony przez gubernatora wyborskiego. Aresztowani zaprzeczają, jakoby brali udział w owym napadzie.

HOTEL EUROPEJSKI.
ALBERT SZKOWRON.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 15 października. G. książę Gedroyć z Mostów. M. hr. Borkowski z Mielnicy. W. Zagórski z Peretoków. Dyr. F. Hoenicke i F. Exner z Wiednia. X. J. Tomasiewicz i R. Stachórski z Krakowa. Pp. Harsdorfowie z Izdemulki. Kapitan K. Teichman ze Stanisławowa. P. Mysłakowski z Mogilnicy. W. Strzeleccy z Nowoszyc. Dr. J. Szmal z Grybowa. F. Kwieciński z N. Sącza. M. Olszewska z Kijowa. P. Zarańska z Drohobycza. Dr. S. Schätzel z Brzeżan. S. Bieniaszewski z Rzeszowa. M. Leniecka z Borek Wielkich.

HOTEL FRANCUSKI.

Przyjechali dnia 15 października. J. Modrakowski i L. Landau z Krakowa. Knolowie z Wołynia. J. Sohr z Paryża. L. Husserl, E. Rosenblat, J. Trabauer z Wiednia. J. Behmerwald z Kopeczyniec. S. Gruja z Podola. J. Dawidowiczowie z Brzeżan. A. Brechar, F. Possmer i A. Kucharz ze Stanisławowa. M. Korolowie z Żółkwi. N. Bendel i P. Mittelmann ze Złoczowa. M. Goralski z Bełza. K. Mosler z Zakliczyna. A. Wolniewicz z Olszy. J. Grauer z Czerniowiec. N. Korzenna z Brzozdowiec. Z. Styber z Zagórza. J. Dembowski, L. Słotwiński i N. Rosental z Borysławia. A. Lgocki z Nowego Targu. K. Pelsch z Bielska.

NADESŁANE.
Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Wiedeń 15 października. (Giełda towarowa). Cukier 21·30—21·40 (spokojnie). — Spirytus 41·80—42·20 (słabo płacono). — Nafta galicyjska bez zmiany.

Budapeszt 15 października. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i za 100 kilogramów). Pszenica na październik 14·64—14·66, na kwiecień 15·12—15·14; żyto na październik 13·06—13·08, na kwiecień 14·32—14·34; owies na październik 14·30—14·32, na kwiecień 14·32—14·34; Kukurudza na październik 00·00—00·00, na maj 1907 r. 10·40—10·44. — Rzepak na sierpień 26·10—26·30. — Oferty: mierne.— Chęć kupna: mierna. — Usposobienie: spokojne. — Pogoda: piękna.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 15 października.

Marki 117.55, renta majowa 98.90, węgierska renta koronowa 94.60, akcye: austr. zakł. kredyt. 674.50, węg. zakł. kred. 811.50, anglobanku 312.50, unionbanku 567·00, bankvereinu 557.75, länderbanku 445·50, kolei państw. 686·00, lombardy 183.00, akcye kolei Elbethal 454.50, fabryki broni 565.50, tytoniowe 424.00, alpiny 605.00, Rima Muranyi 579.00, prag. T. żel. 2795.50, losy tureckie 162.00, ruble 252.50. Usposobienie: spokojne.

5% renta rosyjska na r. 1906 79.86.

Warszawa. Listy zastawne 4½% Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Królestwie Polskiem 87.10, zaś 4% — 80.00. Listy zastawne 5% miasta Warszawy 94.00, takież 4½% — 82.10

Ruch pociągów kolejowych
ważny od 1 maja 1906 r. według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1.30**, **8·40***, 5.50*, 8·45, 5.25, 9.80*
Z Rzeszowa: 10.85.
Z Podwołoczysk na dworzec główny: 7,20, 11.45, **2.20**, 5.5?, 10,30*.
Z Podwołoczysk na Podzamcze: **2.05**, 7.00, 11.25, 5.25, 10.12*.
Z Czerniowiec: **12.20***, **1.40**, 6.10, 5.45, 9.05*.
Z Kołomyi: 10.05.
Ze Stanisławowa: 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.50.
Z Jaworowa: 8.18, 4.37.
Z Sambora: 8.15, 1.50, 9.20*.
Z Ławocznego: 7.29, 11.50, 10.50*.
Z Tuchli: 8.55.
Z Bełzca: 4.50.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa **8.25**, **12.45***, **2.45**, 4.05*, 8.35, 6.35*, 11.0?*
Do Rzeszowa: 4.05.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: 6.20, 10.55, **2.21**, 6.15*, 9.50*.
Do Podwołoczysk z Podzamcza: **2.36**, 6.35, 11.15, 6.37* 10.08*.
Do Czerniowiec: **2.51**, **2.40**, 6·15, 9.20, 10.40*.
Do Stryja: 11.30*.
Do Rawy i Sokala: 7·25.
Do Jaworowa: 6.55, 6.00*.
Do Sambora: 8.55, 4.15, 10.51*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 3.30.
Do Przemyśla, Chyrowa: 10.05*.
Do Ławocznego: 7.30, 2.80, 6.25*.
Do Bełzca: 10.45.
Do Stanisławowa, Czortkowa. Husiatyna: 9.10*.
Do Janowa 8.14.

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

36)

Młodszy mąż.

(Z francuskiego.)

(Ciąg dalszy).

Tydzień minął gdy hrabiowstwo de Fontenay zainstalowali się w Deauville. W obszernej willi, będącej ich własnością, mieścili się wygodnie wraz z zaproszonymi gośćmi. Dla panny Andrimont przeznaczono mały pawilon, połączony oszkloną galeryą z głównym korpusem. Nieodstępną towarzyszką i zarazem serdeczną przyjaciółką Łucyi jest obecnie miss Griffith, córka pastora, obarczonego licznem potomstwem, i przychodząca w ten sposób z pomocą niezamożnej rodzinie. Niepospolite dary umysłu i serca ukrywały się tu pod dziwnie brzydką powierzchownością. Wzrost dosięgający nieomal sześciu stóp, oczy i włosy koloru tak jasnego, że wobec nich albinos mógłby uchodzić za szatyna, składały się na tę postać, przypominającą raczej olbrzymiego grenadyera, ubranego żartem w suknie kobiece. Cerę miała dość białą, lecz pokrytą nadzwyczaj licznemi piegami. Do wiernego scharakteryzowania całości dodajmy jeszcze zęby przerażającej długości, a zrozumiały będzie przydomek „krokodyla“, nadany jej przez barona Trésorier.

Baron, patrząc niegdyś wystraszonemi oczami na miss Griffith, rzekł tajemniczo do żony:

— Obawiam się, moja droga, aby ta kobieta nie zjadła nas wszystkich. Toć to istny ludożerca!

Odpowiedź pani Trésorier była dość złośliwa.

— Nie obawiaj się, kochanku — rzekła — tobie w każdym razie nic nie grozi... Ludożercy są pod względem smaku nader wybredni.

Stosunki Łucyi z miss Griffith trwały już od trzech miesięcy. Wkrótce też obie polubiły się szczerze. Wyższe wykształcenie i pogodny humor młodej Angielki umiliły samotność i wpłynęły w znacznej części na uśmierzenie smutku panny Andrimont. Miss Griffith, jako prawdziwa córa Albionu, była zapaloną zwolenniczką wszelkiego sportu i zwolna wciągnęła Łucyę do najrozmaitszych rozrywek gimnastycznych. Łyżwy, jazda konna, pływanie i gimnastyka były na porządku dziennym, a wszystkie te ćwiczenia wywarły korzystny wpływ na Łucyę. Twarzyczka jej, pokryta teraz świeżym rumieńcem, przypominała brzoskwinię, cała zaś postać tchnęła siłą i zdrowiem. Posępna zaduma, w jaką wpadała jeszcze od czasu do czasu, zjawiała się coraz rzadziej, ustępując miejsca pogodniejszym myślom. Miss Griffith z żalem opuszczała milutkie mieszkanko na ulicy Maillot, ale poznawszy bliżej nową siedzibę w Deauville, orzekła, że i tutaj będzie im bardzo dobrze.

Ważną rolę grała tutaj bliskość morza, z którem Angielka zrosła się i zżyła od dzieciństwa. Początkowo niepokoiły ją cokolwiek wszystkie te zmiany; obawiała się mianowicie, aby gwarne życie tutejsze nie przeszkodziło im oddawać się wspólnej pracy umysłowej i ulubionemu sportowi. Łucya jednakże nie zmieniła wcale zwykłego porządku zajęć codziennych, czem uspokoiła zupełnie swą towarzyszkę i zaskarbiła sobie nieograniczoną jej wdzięczność. Miss Griffith nabrała tutaj wogóle tak dobrego humoru, że wkrótce po przyjeździe zdecydowała się dobrowolnie przejść granicę, rozdzielającą pawilon Łucyi od mieszkania Fontenayów.

Fakt ten wywołał powszechną sensacyę, ale przy bliższem poznaniu oswojono się z niesłychaną brzydotą tego olbrzyma rodzaju żeńskiego, a wrodzona wesołość i brak pretensyonalności zjednały jej uznanie wszystkich.

Firmont, zwolennik oryginalności, wystąpił odrazu w roli gorącego wielbiciela niepowabnej zaiste Angielki.

Paweł de Cravant mawiał do Łucyi z udaną powagą:

— Czuję się w obowiązku ostrzedz panią.. Zaloty te łatwo mogą się zakończyć wykradzeniem.

Panna Andrimont odpowiadała na to z uśmiechem:

— Bardzo być może, ale zdaje mi się, że raczej miss Griffith pochwyci pana Firmont niby słomkę i przyniesie go do mnie, a wtedy obmyślimy dla wspólnie jakąś karę.

Paweł de Cravant zachowywał się względem Łucyi od pewnego czasu w sposób dający dużo do myślenia. Zbliżenie się młodych nastąpiło jeszcze w Paryżu na jednem z wieczornych zebrań u hrabiny. Pani de Fontenay dokładała wszelkich starań, aby Łucya za jej pośrednictwem poznała jak największą liczbę osób, należących do tak zwanej śmietanki.

Łucya podobała się wszystkim bez wyjątku. „Piękna, jak anioł, bogata, jak Krezus“ — podawano sobie z ust do ust, a słowa te elektryzowały niejednego młodzieńca, pragnącego załatać koronę hrabiowską, lub książęcą mitrę.

Pani de Fontenay, nie zapominając o głównym celu swych zabiegów, dążyła do niego powoli i ostrożnie. Gdy Łucya po upływie żałoby ukazała się po raz pierwszy u hrabiny, zastała tam zaledwie parę osób, już to należących do rodziny, już to do grona dawnych znajomych, a mianowicie między innymi barona de Cravant i markiza de Villenoisy.

Wieczór ten wyrył się w pamięci pani de Fontenay. Łucya podbiła i zjednała sobie wszystkich. Dyplomata przypatrywał jej się długo bystrym i przenikliwym wzrokiem; rzekłbyś, że z rysów pięknej tej twarzyczki pragnie odgadnąć głąb jej duszy. Niewiadomo, jaki był ostateczny rezultat tego wstępnego badania; dość, że po chwili usiadł przy pannie Andrimont i zawiązał z nią ożywioną pogawędkę. Treść jej zmieniała się nieustannie: to potrącała o najpoważniejsze zagadnienia życia, to znowu ślizgała się lekko i żartobliwie po jego powierzchni. Markiz de Villenoisy kierował nią nieznacznie, tak, aby pytania i odpowiedzi Łucyi dały mu dokładne pojęcie o jej przekonaniach i sposobie myślenia. Młoda dziewczyna, nie domyślając się, rzecz prosta, z jaką uwagą markiz chwytał każde jej słowo, była taką, jak zwykle, szczerą, otwartą, głosząca bez ogródki swe zdanie, choćby stało w rażącem przeciwieństwie z ogólnie przyjętemi formułkami, a zawsze sobą i zawsze uroczą istotą.

Indagacya ta trwała już przeszło godzinę i przeciągnęłaby się dłużej jeszcze, gdyby pani de Fontenay nie skorzystała była z pierwszej lepszej sposobności i nie przywołała do siebie starego przyjaciela.

— Cóż, jakże ci się podobała nasza kuzynka, markizie? Określ mi ją krótko, w dwóch słowach.

— Jedno wystarczy: niebezpieczna.

— Jakto! ona, to dziecię, nie mające ani cienia zalotności.

— Ideał! przyznaję ci to, hrabino, ale ta doskonałość czyni ją właśnie tak niebezpieczną.

— Żartujesz, markizie — rzekła hrabina — wszakże raz ci już powiedziałam, że z jej strony nie obawiam się niczego.

— Z jej strony — zapewne. W każdym razie przypomnij sobie pierwszą naszą rozmowę, przypomnij sobie, że uradziliśmy wtedy wspólnie wydać Łucyę jak najprędzej za mąż.

W odpowiedzi wskazała Mina wachlarzem Pawła de Cravant, siedzącego właśnie obok panny Andrimont. Zachwyt, malujący się na twarzy młodzieńca, niezwykłe ożywienie, z jakiem Łucya brała udział w rozpoczętej dopiero co rozmowie, zwracały ogólną uwagę. Patrząc zdaleka, można było istotnie wziąć ich za parę narzeczonych, a przynajmniej zakochanych.

Tymczasem żywe zainteresowanie panny Andrimont wywołała jedynie wzmianka o rodzinnych jej stronach. Baron de Cravant, podróżując przed dwoma laty po Ameryce, zwiedzał posiadłości angielskie, a następnie bawił dość długo w Kanadzie, o czem nie omieszkał nadmienić Łucyi. Dziewczę zaczęło teraz spoglądać na Pawła innemi oczami. Nie był już dla niej obojętnym, jednym z tysiąca spotykanych codziennie, ten, który swoją osobą wskrzeszał niejako dawne wspomnienia, którego jedno słowo przenosiło ją w ukochane, a tak dalekie kraje.

Mówili więc oboje o owych olbrzymich jeziorach, pokrytych nieomal cały rok lodem, o rozległych błoniach i niezmierzonych przestrzeniach, po których zimową porą szalały huragany i srożyły się śnieżne zamiecie. A polowania na bizony, niedźwiedzie, pogonie za tabunem dzikich koni, a owe niezapomniane przeprawy przez Góry Skaliste, przenoszące szczytami obłoki i kryjące w swem łonie ciemne pieczary i bezdenne przepaście!... Pusto tam i cicho, jak w pierwszym dniu stworzenia; czasami tylko wśród niedostępnych skał i urwisk mignie lekka antylopa lub też orzeł, wzbijający się do słońca, zaszeleści skrzydłami.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Braci Fiałkowskich. Z drukarni E. Winiarza.